Rok II. Kraków, dnia 5 Listopada 1883 r. Nr. 20 i 21.

PRZEGLĄD
LITERACKI I ARTYSTYCZNY

pismo poświęcone literaturze, sztuce i sprawom społecznym.

PRENUMERATA.
W Krakowie: *rocznie 6 złr., półrocznie 3 złr., kwartalnie 1 złr. 50 ct.*
Z przesyłką w Austryi: *rocznie 6 złr. 50 ct., półrocznie 3 złr. 25 ct., kwartalnie 1 złr. 63 ct.*
W Wielkopolsce: *z przesyłką rocznie 12 Mrk., półrocznie 6 Mrk., kwartalnie 3 Mrk.*

Główny współpracownik **K. Bartoszewicz.**
Wydawca i redaktor odpowiedzialny **Jan Blaschke.**
Adres Redakcji i administracji:
K. Bartoszewicz w Krakowie
Rynek, Hotel Drezdeński.

Przegląd wychodzi każdego 5go i 20 dnia miesiąca i obejmuje półtora arkusza druku z dodatkiem rysunku lub autografu.
Rękopisma nie zwracają się.
Inseraty po 10 ct. od wiersza petitowego, następne po 5 ct.
Cena pojedynczego numeru 30 cnt.

Z WIOSNY ŻYCIA.

W cudownym majowym miesiącu,
Gdy pierwszy kwiatek rozpęka —
Uczuć pierwiosnkiem w mym tonie
Rozbrzmiała — pierwsza piosenka!..
Heine (prz. Maliszkiewicza).

I.

Liryczna introdukcja.

Jakiś dziwny, gorączkowy
Mojej duszy stan —
W sercu rodzi się ukryty
Czarodziejski plan..
Z ziarnka świeżo posianego
Pierwszy kwiatek pękł —
I w wezbranej szczęściem duszy
Pierwszy zadrgał dźwięk!..
Oko dotąd niezwilżone,
Dziś kurczowo drga...
I wbrew woli — nieproszona —
Pierwsza spływa łza...

II.

Z balowych reminiscencyj.

Wśród walca tonów — w tanecznie gronie,
Ujrzałem dziewczę cudnej urody...
Z niewieścim wdziękiem, pełnym swobody,
Tańczyło zwinnie w dużym salonie...
Zdalam na ładną patrzał dziewczynę,
Na lic czarownych, kraśne jagody...
Dziś — zły wspominam ową godzinę,
Bo dziewczę — ładne, a jam był — młody!..

III.

O wschodzie słońca.

Darmo chcę czujne uspić sumienie
I chwil minionych zatrzeć obrazy...
Wyparte trzykroć z duszy wspomnienie
Wraca napowrót czyste — bez skazy...
Obcem mi serca uczucie było,
Miłości wrażeń byłem daleki...
Dziś darmo walczę z zaklętą siłą —
Spokój i szczęście znikły na wieki!..

Przez szyby jasny już świta dzionek —
Pobladły księżyc ginie w oddali...
Wśród kędzierzawych białych chmur fali
Złociste słońce widać z obsłonek...
Patrzę w tło nieba błękitem tkane,
Na rannej jutrzni błysk purpurowy...
Lecz próżno czekam na serca zmianę,
Bo stan mej duszy trwa — jednakowy!..

KRONIKA.

W parę tygodni po uroczystościach jubileuszowych i zjazdach poważna cisza zaległa cały Kraków. Wszyscy zapragnęli dobrze zasłużonego odpoczynku, a nawet Czas z Reformą zawarł chwilowe zawieszenie broni.

Mijał już cały tydzień jak nikt nikogo nie nazwał publicznie szulerem ani paszkwilistą, ośm dni upłynęło od chwili kiedy powstał ostatni projekt pomieszczenia pomnika Mickiewicza, dziewięć dni już minęło od czasu ostatniej biby pojubileuszowej — Czas nie zwietrzył od tygodnia żadnego socjalisty, Reformy nie oburzali nawet przechodzący przez rynek OO. Jezuici, p. Stanisław Tomkowicz spoczywał w objęciu swoich trzech czwartych, teatralna „Złodziejka" kradła resztę dobrego humoru, p. Himmelblau nie wydał żadnego nowego dzieła „zbogacającego dział podręczników naukowych," nawet deszcz nie chciał padać, a wiatr omijał Kraków o mil kilkanaście — słowem raj zapanował dla krakowian, a piekło dla kronikarza. Żeby choć jedna burda, choć jeden skandalik, choć jedno kapitalne głupstwo, o które przecież tak łatwo w Krakowie — a byłby jaki taki materjał do kroniki. Niestety! wszystko odpoczywało po trudach, a tylko gdzieniegdzie odzywający się z pod kołdry jęk boleści przekonywał, iż ubiegłe uroczystości miały wpływ nietylko na serca, ale i na żołądki.

W takiem położeniu pisać kronikę jestto kręcić bicz z piasku. Sztukę tę wprawdzie posiadają polityczni dziennikarze, finansiści austrjaccy, nasi posłowie sejmowi, sztuczni krytycy warszawscy [1]), ale kronikarz wasz dotychczas jej nie nabył. Co tu zatem począć, aby napisać kronikę nie mając materjału? Po długim namyśle postanowiłem poświęcić się i ruszyć w świat, aby znaleść odpowiedni materjał, a przynajmniej opisem przygód i wrażeń z podróży załatać jego braki.

[1]) Są krytycy literaccy, krytycy historyczni, dlaczego mają być krytycy sztuki a nie sztuczni?

Puściłem się więc Wisłą ku Baltykowi i zawadziłem o Płock i Warszawę.

Warszawa leży na lewym brzegu Wisły. Przekonałem się o tem naocznie i po raz pierwszy uwierzyłem w ścisłość naszych geografów, zgodnych zupełnie z sobą na tym punkcie. Na prawej stronie Wisły leży Praga, na co już nie wszyscy uczeni ziemiopisowie się zgadzają: jedni Pragę odkryli nad Wisłą, drudzy nad jakąś Wełtawą. Warszawę z Pragą łączą dwa mosty, oba żelazne i djabelnie długie. Wogóle w żelazie Warszawa się kocha, bo oprócz mostów żelaznych, ma „dom żelazny", Żelazną Bramę, targ za Żelazną Bramą, ulicę Żelazną, bruki żelazne, a mieszkańcy jej muszą mieć i żelazne zdrowie, jeżeli zebrani w liczbie 400.000 mogli się obywać dotąd bez kanalizacji i wody źródlanej.

Mieszkańcy Warszawy dzielą się na mężczyzn i kobiety. Tych ostatnich jest o pa-

IV.

Zaklęty obrazek.

Więc muszę wybić klinem klin —
Do pracy znajdę drogę;
Chwytam za książkę — czuję spleen
I pojąć nic nie mogę...
. . . .

Z przeważną siłą walczyć chcę —
Daremne przedsięwzięcia,
Gdy z książki kart wychyla się
Czarowna twarz — dziewczęcia!..

V.

Do pensjonarki.

Złotej gwiazdki lśnią promienie
W kryształowych wód przeźroczy,
Lecz od wszystkich gwiazdek nieba
Jaśniej błyszczą — twoje oczy...

Brylantowa kropla rosy
Siedmio-barwnym lśni się błyskiem,
Lecz nie może iść w zawody
Z czarnych ocząt twych połyskiem...

Przed ich blaskiem — mineralog
Musi stanąć jak zaklęty,
Bo gdzież widział — w jakim zbiorze —
Tak przepyszne — dyamenty?..

VI.

Zakochany.

Przez szyby patrzę bezmyślnie
W błękitną dal...
Gorzką do oka łzę ciśnie
Serdeczny żal...
Ach! Czyżby to czary były —
Wiedzieć-bym rad,
Ze stał się dla mnie niemiły
Wesoły świat?...
Na ustach mi uśmiech kona —
Mówię — przez łzy...
Tęsknota niewysłowiona
Mąci me sny...

VII.

Lucida intervalla.

Źle, gdy w rozterce głowa i serce —
(Co u mnie weszło zwyczajem)...
Złote mi słowa szeptała głowa,
Serce radziło — nawzajem!...

Jak odurzony na obie strony
Serdecznych rad wysłuchałem...
I — mojem zdaniem — ciągłem wahaniem
Właśnie — najgorzej wybrałem...

Rozum szyderca drwi teraz z serca
I dusza ma niespokojna...
Sam nie dam rady — wejdę w układy:
Dwu potęg grozi mi — wojna!..

VIII.

Liryczne trio.

Czy kto kiedy się upoił
Przyjemniejszym trunkiem,
Jak usteczek karminowych
Boskim pocałunkiem?

Zda się napój tak niewinny,
A odbiera — mowę:
Mała ilość wnet zawróci
I serce i — głowę!..

IX.

Źródło natchnienia.

(*Myśl z Weilen'a*).

Lube dziewczę! ust granatu
Nie chciej w dłonie chować...
Wieszcz natchnienia z kwiatów czerpie —
Daj się — pocałować!..
Czarodziejko! nachyl lica
Od kwiatów wonniejsze,
A wyssane z ust twych piosnki,
Będą — najpiękniejsze!..

X.

Serenada.

Cichy wieczór księżycowy,
Miliony świateł płoną,

---

rę tysięcy więcej, w czem zapewne leży przyczyna wielkiej wrażliwości niektórych warszawianek na widok człowieka młodego a nieżonatego. Ta przewaga dam wpłynęła zapewne i na samo utworzenie herbu Warszawy, którym jest połowa Syreny z ogonem rybim. Dlaczego z rybim wytłumaczyć mi nie zdołano, bo że z ogonem nic dziwnego, zważywszy, iż modne warszawianeczki przepadają za długim ogonem wielbicieli. Warszawianki dzielą się na dwa główne działy: pobielane i au naturel. Ten ostatni rodzaj więcej jest na targach małżeńskich poszukiwany i dochodzi czasami do cen bajecznych. Na ulicach po ogrodach, przechadzkach, cukierniach, w teatrze więcej daleko spotykasz okazów pobielanych. Dział ten pobielany dzieli się jeszcze na: własnowłose i cudzowłose, własnozębne i cudzozębne, różowane i żyłkowane, z biustem naturalnym i dorabianym. Od pewnego czasu warszawianki noszą na wzór rycerzy średniowiecznych rozmaite godła, jak: łby kurze, gołębie, wróble, kacze lub indycze. Najwięcej jednak zdarzyło mi się widzieć podków nieumieszczonych wszakże na nóżkach, lecz na innej okolicy ciała, dotychczas bez podkucia obchodzącej się, a niesłusznie ignorowanej w słowniku rozmowy towarzyskiej. Warszawianki posiadają małe nóżki, drobne rączki, są zgrabne, rozmowne i dowcipne. Mało między nimi gęsi, dużo gołębic, turkawek, słowików, sporo też i kukułek. Pawice chodzą w niedzielę o g. ½1-szej do kościoła, potem przeciągają przez ogród Saski lub każą się wozić w aleje ujazdowskie; rozmawiają one żargonem nadsekwańskim, szeleszczą ogonami i cuchną aptekarskiemi wyrobami z Paryża. Warszawiacy wielce sobie chwalą rodzaj „szwaczek“— są to podobno bardzo ładne, miłe, sprytne i smaczne aniołki — brak czasu jednak nie dozwolił mi przekonać się o ile w tym względzie warszawiacy są prawdomówni. Za to niestety przekonałem się o wielkie obfitości gąsienic przyczepiających się do każdego przechodnia z takiem natręctwem, że większą plagą wydały mi się owe Donny Juanity, niż zbytecznie opisywani i okrzyczeni Don Juani warszawscy.

Dając jednak pokój gąsienicom przytoczę na zakończenie ustępu o warszawiankach, wierszyk napisany przez jakiegoś ich przeciwnika i zwolennika zarazem, za treść jego nie przyjmując odpowiedzialności. Wyraża się on tak o warszawiance:

Jadowite ócz jej strzały,
Serce pełne gadów, węży,
Każda swego Jasia, Stasia,
Pod pantoflem swym ciemięży.

Każda mówiąc o miłości
Okiem w inną stronę strzela,
I jak Ewa tak ulega
Słowom węża kusiciela.

Z jej usteczek koralowych
Wciąż wygląda djablik mały,
Chce by do jej drobnych nóżek
Plackiem padał naród cały.

Srebrne dźwięki — ptasząt mowy —
Gdzieś w dalekiem echu toną..
Wonią kwiatów pierś oddycha,
Wiatr szmaragdy drzew porusza,
Chór ptąszęcy już ucicha —
I w zachwycie tonie dusza..

Wszystko milczy zagadkowo,
Tylko słowik roztrzepany
Nuci zcicha nad mą głową:
„Zakochany — zakochany!“
Gdy oklaskiem przerwać chciałem
Serenadę tę nieznośną —
W górę wzleciał i z zapałem
Wciąż to samo śpiewał — głośno!..

XI.

Samobójca.

Dość już marzeń, łez i żalów
Piosnek i sonetów!
Takich tkliwych słów nie pisał
Najtkliwszy — z poetów...

Zagniewany sam na siebie
Spieszę — nad brzeg rzeki,
Aby w nurtach fal ukoić,
Ból serca — na wieki!..

I nic zmienić już nie zdoła
Mego przedsięwzięcia —
Chyba — gdybym zamiast w rzekę,
Upadł — w twe objęcia!..

XII.

Zakończenie.

W cudownym majowym miesiącu,
Gdy pierwszy ptaszek rożdźwięka —
Wyznań miłości mej tchnieniem
Rozkwitła pierwsza piosenka.
Heine (prz. Maliszkiewicza).

Gdy ze spokojem wszystko rozważam,
Dziwna się w duszy rodzi wątpliwość
Sercowy rozstrój, jak lekarz badam
I pytam zcicha: czy to nie miłość?..
Lecz serce milczy i rozum milczy —
Któż mi rozjaśni dziwną zawiłość?
Chyba uwierzę słowika pieniom,
Że to jest pierwszy romans i — miłość!..

We Lwowie 3go maja 1882.

Edmund Prus.

BABA.

NOWELLA *J. Blizińskiego.*

Dokończenie.

— Cóż to było? — zapytałem, gdy p. Alfons przerwał sobie na chwilę, osadzając niedopalone cygaro w cygarniczce.

— Nie omyliłem się — mówił dalej — Po krotkim wstępie, w którym dziękowała mi za przyjaźń, jaką okazywałem jej synowi, wynurzyła nadzieję, że pokaże się w skutkach, czem jest ta przyjaźń, która nie pozostanie zapewne czczą formą. Na moje zapewnienie, że się nie myli, wyspowiadała mi się otwarcie z swoich trosk macierzyńskich, wystawiając boleść, jaką jej sprawia niewdzięczność dziewczyny, która za udzielenie jej przytułku i opieki bałamuci jej syna, co prawdę mówiąc, było już naciągniętem..... ale co tu się dziwić matce!.. Nareszcie wtajemniczyła mnie w widoki ożenienia Edwarda i zaklęła na zażyłość z nim, na wszystkie najświętsze obowiązki, abym jako przyjaciel, dla jego szczęścia, dla honoru i przyszłości rodziny et caetera, postarał się jakimbądź sposobem wyrugować z jego serca tę dziewczynę, chociażby przyszło... zbałamucić ją, uwieść!

— Co pan mówisz! to być nie może...

— No, naturalnie nie powiedziała wyraźnie, tylko pod pokrywkami, ale oczywiście tego chciała... bo wszakże nie mogła mi proponować ożenienia.

— Któż wie, czy nie miała tej myśli? — rzekłem dobrodusznie.

P. Alfons spojrzał na mnie i zaczął się śmiać, jakby z czego najzabawniejszego.

— Przecie tyle taktu posiada — rzekł uśmiechnąwszy się — żeby mi nie śmiała robić podobnej propozycji. Wiedziała do kogo mówi.

Teraz ja z kolei spojrzalem na niego; myślałem, że żartuje ale widocznie mówił w dobrej wierze, i był w najzupełniejszym porządku z sumieniem.

— Zresztą, kiedy już tak — dodał—to powiem bez obwijania w bawełnę, że nie można było mieć najmniejszej wątpliwości co do znaczenia jej słów... były aż nadto wyraźne.

Oczywiście p. Alfons był bardzo dotknięty mojem przypuszczeniem i koniecznie starał się przekonać mnie, że pułkownikowa wiedziała do kogo mówi. Osiągnął ten skutek w zupełności: odmalował swoją płytkość i jej niegodziwość doskonale. Byłem oburzony, szczególniej na babę, która w celu egoistycznym nie wahała się narazić na szwank czci biednej dziewczyny.

Ciekawy co dalej nastąpiło, zapytałem:

Ubiór modny jej marzeniem
Ideałem zaś — fryzura,
Cukierkami się objada
U Clotina, Loursa, Toura.

Lubi koki, loki, fioki,
Teatr, spacer, cyrki, bale,
Całą piersią chce oddychać
W hucznym życia karnawale.

Lecz choć wszystkie są zdradliwe
I złośliwe jakby żmijki,
To pomimo to jednakże
Bardzo lubię te bestyjki.

I pragnąłbym, aby w niebie,
Gdy opuszczę życia szranki,
Sanctus Petrus dał mi miejsce
Obok jakiej warszawianki.

Płeć brzydka w Warszawie odznacza się zamiłowaniem wista i preferansa. „Pulka“ jednoczy stronnictwa, zażegnywa burze domowe i ma bezpośredni wpływ na politykę. „Orżnięty“ w preferansa przyjaciel dziennikarza politycznego tak mu czarno przedstawia sytuację polityczną, że nazajutrz czytelnicy wyczytają w jednej z „Gazet“ lub „Kuryerów“ straszny horoskop: Bismark się sroży, Ferry knuje zamachy, Gladstone intryguje, Kalnoky się uzbraja, a Petriczany, Kogolniczeany, Boreski, Trombeski, Zankowy i Bąkowy grożą Europie wojną, pożogą i mordami. Zupełnie inaczej przedstawia się widokrąg polityczny po zwycięztwie w whista: Bismark myśli o założeniu Towarzystwa Dobroczynności, Giers konferuje z Patti, Kalnoky urządza teatr amatorski, Gladstone łowi śledzie pod Kopenhagą, a Ferry układa librettto do operetki. Wogóle płeć męzka w Warszawie ma wiele fantazji i lubi politykować. Młodsza jej część odznacza się przytem elokwencją, szykiem i niepospolitym darem „zawiązywania stosuneczków.“ Warszawiak lubi rozprawiać o wszystkiem, bo o wszystkiem wié coś powierzchownie, ch é często też zna rzecz gruntownie. Na niedolę jest bardzo czuły i co dziwna, a u nas niesłychana, że gdy da na jakiś cel kilkadziesiąt, a choćby kilkaset rubli, często nie pozwala nazwiska swojego drukować. Lwów z pustkami w głowie, sercu i kieszeni spotkałem niewielu, ale zato w dobrych okazach. Starszyzna męzka nosi bez wyjątku tytuł radców, usprawiedliwiony najczęściej tem, że udzielają rad swym żonom, a te ich naturalnie nie słuchają. Bardzo miłym i sympatycznym gatunkiem jest emeryt, zwolen-

— I jakżeż pan odpowiedział na te insynuacje?

— Naturalnie, udałem, że ich nie rozumiem; pojmiesz pan, że ze względu na przyjaźń z Edwardem... chociaż to było wbrew przekonaniu matki, nie mogłem postąpić inaczej.

— Zdaje mi się, że gdyby nie ta okoliczność, nie robiłoby się skrupułów, nieprawdaż? — rzekłem niby żartobliwie.

— Przyznasz pan, że rola anioła pocieszyciela w obec takiej dziewczyny, dla każdego byłaby ponętna — rzekł z uśmiechem świadczącym, że jego wyobrażenia o moralności spoczywały na bardzo kruchej podstawie.

— Podobno co do tej roli, nie dałeś pan dotychczas za wygraną — rzekłem, patrząc mu w oczy.

— Z czego pan to wnosisz? — zapytał z wyrazem zadowolenia.

— Jestem obserwatorem i fizjognomistą.

Wyraźnie mu to pochlebiło. Jego oblicze zapromieniało jakąś dumą i pewnością siebie, jak gdyby miał do pochwalenia się z najwznioślejszym czynem.

— Widzi pan — rzekł po chwili — teraz już co innego: ożenił się, nie jest wolnym. Robię to w interesie moralności.

Trudno wyobrazić sobie wyraz dobrodusznego cynizmu, jaki towarzyszył tym słowom. I ten człowiek — pomyślałem sobie — rezonuje o moralności, honorze i obowiązkach przyjaźni!

Byłem jednak ciekawy dalszego ciągu, więc zapytałem:

– No, ale jakże się ta historja skończyła?

— Sensacyjnym epilogiem, jak w jakim romansie albo dramacie. Wystaw pan sobie, był u nich w obowiązku pisarza prowentowego człowieczyna, młody chłopak niejaki Miłoski, prezentujący się jak na swoją sferę dosyć pokaźnie, i wielki faworyt samej pani... otóż ten, najniespodziewaniej odegrał główną rolę w końcowej katastrofie. Nie dałbym trzech groszy, czy nie w skutek jakiejś zachęty ze strony pułkownikowej, ni ztąd ni z owąd z wielkiem naszem zdziwieniem zaczął zawracać oczy do Zosi. Z początku to było tak pocieszne, że nieraz śmialiśmy się z niego wraz z Edwardem, który prześladował ją tym adoratorem; ale wkrótce rzeczy przybrały inną postać... pan Miłoski udając szalenie zakochanego postępował tak, jakby postawił sobie za zadanie kompromitować dziewczynę, każdy krok jego był obmyślony w tym kierunku... zapytywany, wykręcał się półsłówkami, które pozwalały domyślać się Bóg wie czego. Edwarda zaczęło to nareszcie niepokoić, robił gwałtowne wymówki Zosi, która odpowiadała mu tylko łzami, z nim samym nie śmiał wszczynać scen z obawy przed matką, która patrzała na to wszystko jakoś chłodno, Zosię tylko zacząwszy traktować z coraz większą surowością, a nawet już całkiem pogardliwie. Nareszcie...

W tem miejscu opowiadania dał się słyszeć świst lokomotywy, zwiastujący zbliżanie się do stacji, na której miał wysiąść p. Alfons. Podniósł się natychmiast, ale ja w obawie utracenia końca historji schwyciłem go za palto i posadziłem napowrót, zapytawszy:

— Cóż się stało?

— No, nic — rzekł usiłując powstać — złapaliśmy ich na gorącym uczynku.

— Jakto? — zawołałem porywczo.

— Bardzo prostym sposobem... byliśmy w ogrodzie we czworo, to jest my obydwaj z pułkownikową i radzcą, który właśnie przyjechał... szliśmy do altany na podwieczorek, który z obowiązku przysposabiała Zosia, czekając już tam na nas...

W tej chwili pociąg stanął i konduktor otworzył drzwi, zapowiadając pięć minut przystanku.

Nie puszczałem p. Alfonsa.

— Gdyśmy dochodzili do altany kończył z pośpiechem, stojąc we drzwiach — zobaczyliśmy obok Zosi Miłoskiego, który w tej chwili, jakby nie widział naszej obecności, pochwycił ją w objęcia i korzystając z osłupienia, w jakie ją wprowadził tym napadem, usiłował pocałować.

— Więc pan utrzymujesz, że to był napad?

— Jestem przekonany, ale Edward temu nie wierzył... cóż pan chcesz, matka tyle mu napsuła głowy panną Sydonją... No moje uszanowanie — kończył, podając mi rękę na pożegnanie.

— I cóż nastąpiło? — pytałem ściskając ją.

— Pułkownikowa chciała, niby dla naprawienia skandalu wydać dziewczynę za Miłoskiego, ale gdy ta ani dała sobie mówić o tem, odesłała ją do siostry.

— A radzca stanu?

— Radzca stanu był bardzo kontent, że miał pretekst do zwinięcia chorągiewki...

— Przelawszy prawa opiekuna na pana? — zapytałem ironicznie.

Rozśmiał się głośno.

— No, padam do nóg — rzekł — bo muszę jeszcze pożegnać się z niemi... polecam się łaskawej pamięci.

— Nawzajem — rzekłem przez okno drzwi, które właśnie konduktor zatrzasnął — i życzę sukcesów... ale takich, żeby się było z czem pochwalić przed ludźmi.

— Ślicznie dziękuję — odrzekł zrozumiawszy po swojemu ten dwuznacznik, a ukłoniwszy mi się jeszcze rękami od ust, pobiegł do wagonu pułkownikowej.

Wkrótce pociąg ruszył, a ja zadumałem się nad tem co usłyszałem.....

---

nik czarnej kawy i polityki. Kasta redaktorów i dziennikarzy wzmaga się do tego stopnia, że wkrótce artykuł ten stanie się wywozowym.

Warszawiak wydaje wiele na buty i tramwaje, lubi bowiem dużo chodzić i jeździć tramwajami. Od czasu zaprowadzenia tych ostatnich zmniejszyła się liczba nagniotków, które Warszawę słusznie nazwać mogły swoją stolicą. Bruki i chodniki warszawskie kwiatami słały drogę operatorom i operatorkom odcisków. Kto zaś chce doświadczyć wrażenia jakie sprawia trzęsienie ziemi, temu radzę przejechać się dorożką, Naprzód jedziesz po bruku żelaznym, który rozstraja twoje nerwy, wstrząsa tobą febrycznie i daje przedsmak lekkiego trzęsienia. Potem wpadasz na bruk kostkowy — tu już trzęsienie znaczniejsze, połączone z hukiem podziemnym. Z bruku kostkowego wypada dorożka na bruk zwyczajny — trzymaj się radzę mocno, odmawiaj pacierz w godzinę śmierci, bo tu czujesz już wszystkie okropności podziemnego kataklizmu: skaczesz jak piłka, huk straszny ogłusza cię, puls twoj przyspieszony, lada chwila spodziewasz się katastrofy, wtem cisza, spokój i błogość: jedziesz po asfalcie. Jeżeli pragniesz być świadkiem potopu, stań na rogu ulicy Królewskiej lub Śtokrzyskiej podczas deszczu, a pojmiesz jak ważne zadanie ma w Warszawie „Towarzystwo wioślarskie.“ Widok tego potopu nie zrobi ci wreszcie nieprzyjemności, bo ujrzysz dzięki jemu to, co przed oczyma twojemi było skryte: śliczne nóżki warszawianek w pięknych ażurowych pończoszkach, istny przedsmak raju, cel westchnień tysiąca serc męzkich.

Teatrów posiada Warszawa kilka. Jeden z nich nazywa się Wielki, choć wcale wielkim nie jest. Drugi Rozmaitości śmiało można byłoby nazwać małym, gdyby nie to, że istnieje Teatr Mały, który właściwie powinien się nazywać maluśkim. We wszystkich tych teatrach przedstawiają same nowości jak: Safandulów, Sto za sto, Zbudziło się w niej serce, Posażną jedynaczkę, Dziesięć cór na wydaniu itp. Dzięki temu kto nie był w Warszawie przez lat dwadzieścia, łatwo sobie przypomni chwile młodości. Wogóle teatra warszawskie nie są „domem otwartym“ dla ostatnich prac naszych dramaturgów, a choć nie przedstawiają „Gęsi i Gąsek“, troskliwie je za to zbierają do swego personalu.

Dziennikarze warszawscy jestto z małym wyjątkiem narodek szczery, serdeczny,

Biedne dziecko! padłaś ofiarą bezlitośnego prawa, uznawanego szczęściem dla ludzkości, jedynie tylko przez natury egoistyczne i zwierzęce, na mocy którego jednostki uprzywilejowane nie znoszą na swojej drodze upośledzonych i niweczą je. Niegodziwa kobieta poświęciła cię bez skrupułu dla swojego spokoju— ale czy okupiła go sobie tym sposobem? Gdyby tak było, przyszłoby zwątpić o sprawiedliwości przedwiecznej, która swoje wyroki feruje z nieubłaganą konsekwencją i zapisuje je w sercach winowajców.

Że ten wyrok już zapisany w sercu pułkownikowej, było jasnem dla każdego, kto umie czytać przez maskę, jaką w takich razach osądzeni nakładają sobie na oblicze dla oszukania opinji.

Te dwie postacie, których usłyszałem pobieżną historją — ofiary i kata, nie zejdą mi z przed oczu póki żyć będę, chociaż widziałem je tylko ten raz jeden.....

Gdybym pisał powieść zamiast opowiadania prawdziwego zdarzenia, mógłbym dorobić zakończenie, dające pole najbujniejszej fantazji. Ale pod względem sensu moralnego ów epilog nie powiedziałby nic więcej. Bo czy biedna sierota upadła zwyciężona zabiegami p. Alfonsa lub kogoś jemu podobnego, czy też walczy, dźwigając z godnością to brzemię, które jej przypadło w udziale, w każdym razie jest nieszczęśliwą, jest ofiarą.

Chybabym wymyślił zwrot taki, że pułkownikowa uniesiona żalem i zgryzotami sumienia, usiłowała wynagrodzić Zosi krzywdę jej wyrządzoną np. żeniąc z nią Edwarda, którego rozwiodła z niekochaną i niekochającą żoną, ale czyżby się znalazł ktoś tak naiwny, coby uwierzył w żal baby egoistki?

ŻYWY NIEBOSZCZYK.

(„Le mort vivant“).

Gdy w salonach siedzieć muszę,
Gdzie wykwintność nudy kryje, —
Mówcie requiem za mą duszę,
Bo ja już nie żyję...
Jam nieboszczyk już!..
Lecz — gdy zgodnie i wesoło
Przyjacielskie zbieram koło,
Mimo losu burz,
Kiedy z miłą mi drużyną
Śpiewam piesnki, piję wino, —
Wtedy, bracia, znów
Jestem żyw i zdrów!..
Bardzo żyw, mocno zdrów!..

Kiedy przemyśliwać muszę,
Jak pod biedą nie zgiąć szyją, —
Mówcie requiem za mą duszę,
Bo ja już nie żyję,
Jam nieboszczyk już!..
Lecz — gdy smutków rwie się struna,
Gdy wypadkiem mi fortuna
Sypnie garstką róż,
Gdy mam czem się z garstką dzielić,
Cudzą troskę uweselić, —
Wtedy, bracia, znów
Jestem żyw i zdrów!..
Bardzo żyw, mocno zdrów!..

Kiedy głupstwa słuchać muszę,
Gdzie się niby dowcip kryje, —
Mówcie requiem za mą duszę,
Bo ja już nie żyję,
Jam nieboszczyk już!..
Lecz gdy komu z ust wytryska
Słów kaskada, która błyska
I tnie, niby nóż,
Nóż chirurga, który mądrze
Utkwi w samem jego jądrze, —
Wtedy, bracia, znów
Jestem żyw i zdrów!..
Bardzo żyw, mocno zdrów!..

Kiedy drzemiąc słuchać muszę
Kazaniową zimną chryję, —
Mówcie requiem za mą duszę,
Bo ja już nie żyję..
Jam nieboszczyk już!..
Lecz gdy w gronie moich gości
Żywe słowa o litości
Zabrzmią w głębi dusz;
Gdy te słowa wnet popiera
Czynu chęć ognista, szczera, —
Wtedy, bracia, znów
Jestem żyw i zdrów!..
Bardzo żyw, mocno zdrów!..

Gdy pyszałka widzieć muszę,
Co się z dumą swą nie kryje, —
Mówcie requiem za mą duszę,
Bo ja już nie żyję...
Jam nieboszczyk już!..
Ale kiedy kto mu jawnie
Przytrze rogów.. a zabawnie,
A bez starć i burz,
Lecz tak, że część pychy straci
W skutek owej operacji, —
Wtedy, bracia, znów
Jestem żyw i zdrów!..
Bardzo żyw, mocno zdrów!..

---

dostatecznie goły, a co za tem idzie wesoły. Zna on swoją publiczność, wié czego jej potrzeba, trzyma się zawsze razem tam, gdzie tego dobro ogólne wymaga, jednem słowem dodatnio działa na sprawy miejscowe i krajowe. Nie można jednak powiedzieć, aby dziennikarze warszawscy byli wzorem łagodności i koleżeństwa,— nieodrodni to bracia naszych nadpełtwiańskich i podwawelskich drogowskazów opinji. Delikatna rozmowa gazetników krakowskich prowadzi się mniej więcej w ten sposób: Jak się masz szulerze, kogóż tam wczoraj orżnąłeś?— Cóż cię to obchodzi, niecny paszkwilisto? — Jak widzę unosisz się służalcze, lokaju!—Wymawiam sobie używanie podobnych epitetów, idjoto! I tak trwa przez całe lata.—W Warszawie zaś tego rodzaju sprawa traktuje się nierównie grzeczniej i spieszniej. Paneś błazen— pisze jeden drugiemu, a drugi odpowiada: a paneś oszust. Na tem jednak się nie kończy, sprawa idzie przed kratki, albo do lasu, gdzie się odmierza 15 kroków i pęc bęc kto kogo trafi.

Od pewnego czasu prowadzi się wielka wojna w dziennikarstwie o żydów. Pan Jan Jeleński założył „Rolę“ i na tej roli pragnie założyć cmentarz żydowski. Wykopał dużo grobów i czeka tylko na ciała niewiernych. Ale żydzi warszawscy to nie Goljat biblijny, którego kamieniem z procy zabić było można. Parę pism pomaga wprawdzie Dawidowi, ale większa ich część broni żydów na całej linji. Mając sposobność niejednokrotnie widzieć śliczne żydóweczki warszawskie, podejrzywam, że obrona ta nie jest całkiem bezinteresowna. A kto wié czy jaka np. panna Pfefferbergówna nie zapieprzyła życia panu Jeleńskiemu?

Pod jednym względem Warszawa jest miastem godnem politowania: brak jej Hawełki, Wentzla, Fuchsa i Miki. Skutkiem tego tylko kochankowie fortuny pokłócić się mogą na dobre, „przeprosić“ się bowiem np. u takiego Stępka, to znaczy ulżyć kieszeni ciężaru przynajmniej na sto rubelków. Dla zwyczajnych śmiertelników niéma odpowiedniej knajpki, w którejby można „wyspowiadać się przyjacielowi,“ obmyślić plany polityczne na przyszłość, zawiązać się w komitet dla uczczenia naszego X. a nareszcie dojść do poznania prawdy, ukrytej na dnie dziesiątego kufla lub kieliszka. Paniom krakowskim radzę najserdeczniej, aby podały petycją do sejmu o zaprowadzenie knajp i szyneczków na sposób warszawski, coby ich mężom naprawiło apetyt podczas obiadu

Kiedy skąpca widzieć muszę,
Co swe skarby chciwie kryje, —
Mówcie requiem za mą duszę,
Bo ja już nie żyję...
Jam nieboszczyk już!..
Lecz gdy słyszę mówiącego:
„Człek uczciwy skarbu swego
„Tylko szafarz, stróż!..“
Kiedy pieniądz z ludzkiej ręki
Tłumi ludzkie łzy i jęki, —
Wtedy, bracia, znów
Jestem żyw i zdrów!..
Bardzo żyw, mocno zdrów!..

Gdy ze zgrozą słyszeć muszę,
Że gdzieś hydra wojny wyje, —
Mówcie requiem za mą duszę,
Bo ja już nie żyję,
Jam nieboszczyk już!..
Lecz gdy patrzę, że w pokoju
Płody cichych prac i znoju
Zbiera kraj bez burz,
Kiedy słyszę pieśń swobodną,
Nie marsową, lecz łagodną, —
Wtedy, bracia, znów
Jestem żyw i zdrów!..
Bardzo żyw, mocno zdrów!..

Gdy z rozpaczą patrzeć muszę,
Jak nam przemoc zgina szyję,
Mówcie requiem za mą duszę,
Bo ja już nie żyję,
Jam nieboszczyk już!..
Lecz gdy widzą, że nie zdoła,
Przemoc schmurzyć nasze czoła
Ani zgnębić dusz,
Wtedy, bracia, znów
Jestem żyw i zdrów!..
Bardzo żyw, bardzo zdrów!..

Gdy jak niemy milczeć muszę,
Że rząd brzydkie cele kryje, —
Mówcie requiem za mą duszę,
Bo ja już nie żyję,
Jam nieboszczyk już!..
Lecz gdy z knowań złych — myśl pusta
Złoży piosnkę, którą usta
Wyśpiewają tuż...
Piosnkę co się z złości śmieje,
Śpiewa wiarę i nadzieję, —
Wtedy, bracia, znów
Jestem żyw i zdrów!..
Bardzo żyw, mocno zdrów!...

Z Berangera, **L. Kozłowski**.

KRÓL ĆWIECZEK.

(„Le Roi d'Ivelot“).

Był to sobie królik Ćwieczek —
Mało co w historji znan,
Chociaż dobry to był człeczek,
I łaskawy wielce Pan...
Wstawał późno, kładł się wcześnie,
Spał nie w laurach, ale w smak...
O kochance marzył we śnie,
Która go koronowała
Tem co sama miała —
Białym czepcem!.. Mówią tak!..
Ludzie mówią tak!..
Bo sentymentalny człeczek
Był ten królik Ćwieczek!..
Tra-la-la-la-la!..
Ludzie mówią tak!..

W swoim domku niewspaniałym
Cztery razy na dzień jadł...
Czasem na osiołku białym
Jechał... dokąd?.. Któżby zgadł?..
Zwiedzać państwo swe obszerne
Wzdłuż i w poprzek wszystkich dróg...
A szło za nim psisko wierne,
Zamiast gwardji, jenerałów,
Orkiestr i cymbałów,
Których króle mają huk...
Zwał się pies ten Żuk!..
Taki-to skromniutki człeczek
Był ten królik Ćwieczek,
Tra-la-la-la-la!..
Że nie lubił sług!..

Upodobań uciążliwych, —
W których cierpi zwykle lud,
Nie miał żadnych, — więc śród żywych
Króli — był to istny cud!..
Sam, bez świty, zauszników,
Lubił tylko dobrze pić...
Więc pobierał z swych lenników
Po dwa garnce wina z beczki —
Dań tę miał bez sprzeczki, —
Bo i królom trzeba żyć,
Podpić, potem śnić!..
Z takim to już gustem człeczek
Był ten królik Ćwieczek:
Tra-la-la-la-la!..
Lubił pić i śnić!..

Do pań wielkich — dziarsko, śmiele
Umiał się nasz królik brać:

(a wiadomo, że teraz nigdy go nie mają) i pozwoliło więcej poświęcać się sprawom wewnętrznym własnego światka. Wprawdzie wątpię, aby sejm nasz przyjął na siebie tak anticywilizacyjną missję, ale jako przyjaciel kobiet czułem się w obowiązku udzielić im dobrej rady.

Te barbarzyńskie, rzec mogę, stosunki wpływają znacznie na większy rozwój życia towarzyskiego. Ludzie potrzebując spotykać się z sobą, czynią to po domach prywatnych, a że często się z sobą komunikują, nie wymagają od siebie (o zgrozo!) „gorącej polędwicy,“ nadziewanego indyka, pasztetów, kremów i dobrej marki szampana. Że podobne traktowanie życia towarzyskiego trąci barbarją i zacofaniem dowodzić nie potrzebuję.

Do barbarzyństwa także zaliczyć muszę grę w preferansa bez marek — rzecz niesłychana w XIX. w. A cóż powiecie o tem, że do resurs warszawskich przychodzą ludzie jedynie dla pogawędki i przeczytania dzienników? cóż powiecie o tem, że gra w „karambola“ mało jest uprawioną, a starożytna „piramidka“ pierwsze zajmuje miejsce? Dla zaradzenia tej anomalji proponuję niniejszem zjazd bilardzistów i preferansistów w Krakowie na rok przyszły.

Pomimo jednak tych ujemnych stron przyszedłem do przekonania, iż byłoby korzystnem zniesienie separacji między Warszawą a Krakowem, gdyż małżeństwo to połączone na nowo daje gwarancję dobrego pożycia i wychowania silnego a zdrowego potomstwa.

Gawędziłbym więcej o Warszawie, gdyby nie szczupłe ramy kroniki. A i tak jeszcze miałem mówić o Płocku. Krótko się z nim rozprawię:

Płock jestto malutka Warszawa, ma też wspólne z nią wady i zalety. Leży na górze, jedzie się doń parostatkiem, choć można dojść i piechotą.

Płock nie posiada ani Sukiennic, ani kiełbasy krakowskiej, ani pana Stanisława Tomkowicza, ani piwa pilzneńskiego i wielu innych chwał naszego grodu. Ale ma za to ładne przechadzki, dobre gruszki, a w kopalniach jego znajdziecie prawdziwe perły. Czy znacie wy bowiem Płoczczanki? Jeżeli nie znacie, to pojedźcie, a więcej zelektryzowani zostaniecie, niżbyście całe miesiące przebywali na elektrycznej wystawie wiedeńskiej. Probatum est.

K. B.

Toć miał naród przyczyn wiele
Ojcem swego Pana zwać...
Owoż — Król zwoływał wiece
Zawsze cztery razy w rok,
Gdzie nie mężkie, lecz kobiece
Walne się zbierały rady,
Były sprzeczki, zwady,
Jak pozyskać króla wzrok,
Gdy ochotnic tłok?..
Snać, że tęgi był człowieczek
Ten nasz królik Cwieczek
Tra-la-la-la-la!..
Gdy ochotnic tłok!..

Nie powiększał król swych granic;
Iście grzeczny sąsiad zeń!..
Nie chciał zresztą patrzeć na nic,
Tylko — gdzie rozkoszy rdzeń,
Bo tę — zewsząd garnął sobie!..
To mi to mocarzy wzór!..
Toż, gdy umarł, — to na grobie,
Były straszne jęki, płacze,
Spazmy i rozpacze,
Płakał naród, płakał dwór,
Płakał kobiet chór...
„Och, kochany to człowieczek
„Był ten królik Cwieczek!..“
Tra-la-la-la-la!..
Jęczał kobiet chór!

Króla tego wizerunki
Dotąd czci tak bardzo lud,
Że je wiesza tam, gdzie trunki,
Gdzie sprzedają wino, miód...
Tam więc w rozrzewnienia chwili
Wychyliwszy parę kwart,
Ludek powieść o nim kwili:
Że to król był nad królami,
Kochał się z damami,
Nie znał co srogości hart...
Słowem — król jak z kart!..
Szkoda, szkoda!.. Dobry człeczek
Był ten królik Cwieczek!..
Tra-la-la-la-la!..
Słowem — król, jak z kart!..

Z Beranger'a **L. Kozłowski.**

KLASYCYZM I ROMANTYZM.

Ciąg dalszy.

Lecz jakżeż różnymi jesteśmy od Greków. Kardynalną przedewszystkiem różnicę stanowi tu religja. Inne u nas niż u nich stosunki, zwyczaje i obyczaje. Inną, a o ileż szerszą sfera spraw, działań, potrzeb i uczuć naszych. Innymi nasze zapatrywania się na świat i nasze przekonania. Ależ my sami jakże w różnych czasach i miejscach rozmaitymi byliśmy. Zacytujmy na los szczęścia kilka sławnych nazwisk: Wittukind, Ryszard Lwie-serce, Karol V., Gustaw Adolf, Mirabeau, Murat, Cavour! Każdy w swych piersiach nieledwie świat cały nosił, a jak innym był ten świat każdego! Jakże drobnymi, dziecięco naiwnymi, a jak dziecięco lubymi przy nich okazują się Grecy. Przy takiej różnicy możeż nas zadowolić naśladownictwo greckiej literatury?

Słusznie uwielbiamy Greckiego Homera, który swym rodakom według własnego natchnienia śpiewał narodową epopeję. Lecz dlaczegóżby nie wolno było tego na swój znów sposób piewcom innych narodów uczynić. Ossyan, Nibelungi, Sagi północne, rycerskie rapsody, a serbskie wojenne pieśni ludowe, czyż to nie epopeje? Inny świat i pieśń inna. Czyż tylko Iliady pisać mamy i mięszać w nie Bóstwa dla nas nieistniejące i już nic nieznaczące, lub wymyślać nową mitologją, owe «Odwagi» «Zdrady» «Niezgody» «Szczęścia» itp. wprawdzie wcale nie greckie, lecz za to klasycznie nudne?

Podobnie rzecz się ma z erotyczną, liryczną, dydaktyczną poezją. Albo naśladujmyż i życie greckie, ubierajmy się po grecku, zdejmijmy tużurki i cylindry, jedzmy, pijmy po grecku, a może będziemy i śpiewać po grecku. Oj, nie śpiewalibyśmy wtedy po grecku, lecz by nas w domu warjatów zamknięto.

Lecz niechże przynajmniej poezje nasze będą miarowe! — Prawda, że Grecy nie znali końcówek, a łacina je dopiero po klasztorach w średnich wiekach dostała [1]). Ależ każdy język ma swe właściwości, a nasze zwłaszcza słowiańskie mowy pewnie nie mniej warte niż starożytne. Lecz tym ostatnim w miejsce tak pięknego, oryginalnego, naturalnego i niewymuszonego rytmu szkaradnie rymowane nakładać końcówki jest podobnym gwałtem jak krępować język nie posiadający prozodji formą miarowego wiersza. Rezultaty obu tych procederów jednakie, przypominają bandażowane nóżki dam chińskich.

Podobnież z teatrem. To grecki niejako wynalazek. Oni stworzyli tragedją, komedją, literaturę dramatyczną. Podziwiać należy, z jaką prawdą teatr u Greków ich sposób zapatrywania się na świat oddawał. Fatum i nic prócz fatum, pod którem indywiduum uledz musi. — Chóry na to zdaje się wprowadzone, by wyraźniej jeszcze tę wiarę wypowiadały.

Naśladownictwo Greków tak daleko doszło, iż w naszych krajach i czasach greckie sztuki na grecki przedstawiono sposób. Ich żony i córki już tego nie zdołały. Dziś, gdy czynność nasza całą kulę ziemską ogarnia, gdzie kanałami łączą od siebie oddzielone morza, lub po pod morze chcą prowadzić koleje, tworzyć nowe śródziemne morza, gdzie para i elektryczność zniosły odległości, gdzie telefony funkcjonują, a balony też wnet zapewne do praktycznej służby uzdolnionemi zostaną, w takich czasach mówić w dramaturgii o jedności czasu i akcji, zastępować bezpośrednie działanie jej opowiadaniem, albo mówić o chórach! Litości! Toć Racine i Corneille przecież Grekami nie byli a przy całej swej piękności nie są już do użycia. «Die Braut von Meśsina» zaś Szyllera jest jedynie dowodem, że jenjusz nawet nierozsądne zadanie w jenjalny sposob traktować będzie. Z drugiej strony jak wspaniałym teatr dzisiejszy! To wierne zwierciadło życia naszego. Obok osób głównych i głównej akcji, wiele osob i akcji pobocznych. Czas szybko upływa, a miejsce się zmienia jak w życiu, ale w tem wszystkiem prawda być musi, piękna z oka spuszczać nie wolno, a wtedy i dobro samo z siebie się znajdzie.

Wszakże i falanx Macedońska była doskonałą, a nie zastąpiłaby dziś odtylcówek i dział Uchacyusza. Nie można więc ni żyć, ni walczyć, ni pisać dzisiaj po grecku.

Co za rezultat więc wypływa z powiedzianego? Niema i nie może być teraz literatury klasycznej, jeżeli ta nazwa naśladownictwo bezmyślne Greków i Rzymian ma oznaczać. Jeżeli zaś przez to miano jedynie piśmienne zabytki owych dwóch ludów rozumiemy, stosowniej by było podobno nie o klasycznej lecz o greckiej i rzymskiej, albo przynajmiej o starożytnej mówić literaturze.

Lecz odwrotnie nie znam pojęcia mniej jasnego, a bardziej bałamutnego jak owo «klasycznych autorów» po różnych krajach. «Biblioteka niemieckich, lub polskich autorów.» Co to znaczy? Czy wśród pierwszych Szyller tylko dla narzeczonej z Messyny, a Goethe tylko dla Ifigenji znajdzie przyjęcie? Lub też są oni we wszystkich swych dziełach,— a także i Jean Paul jest-że i on klasykiem? toby było istotnie klasycznem! Toż samo co do nas, Mickiewicz, Krasiński, Słowacki czy to polscy klasycy, przyjąć ich do swego zbioru, lub nie? Gdy się ich przyjmie cóż znaczy taki klasycyzm? chyba wyborowych pierwszorzędnych pisarzy; pytam dlaczego tego jasno i rozsądnie nie wypowiedzieć? Gdy się ich wykluczy ze zbioru, to się popełni głupstwo pierwszej klasy.

Według mego więc zdania również wyrażenia: literatura, poezja klasyczna są niestósowne w tejże mierze, jak to przy muzyce, malarstwie, rzeźbie i architekturze staraliśmy się wykazać.

Z powiedzianego powyżej wynika, że starożytna sztuka dotąd żyje w architekturze i rzeźbie, ale że w malarstwie, muzyce, dramaturgji o wiele przez nowożytną prześcignięta została; w po-

[1]) Dość tu przypomnieć napis nagrobku Chrobrego i stare anakreontyki średniowieczne np. mihi est propositum in taverna mori, ów drugi: Bibit ille, bibit illa, albo znaną pieśń uniwersytecką: Gaudeamus igitur, iuvenes dum sumus.

ezji zaś i w literaturze dzisiejszym nie odpowiada stosunkom. Jeżeli więc nazwa klasyczny ma znaczyć rzymsko-grecki, to ją nazwą «starożytny» zastąpić należy. Jeżeli ma się odnosić i do naj celniejszych płodów starożytnego świata i do Cinquecentistów, jeżeli sławnych włoskich malarzy i muzyków także klasycznymi nazywać będziemy, jeżeli będziemy biblioteki polskich i niemieckich klasyków wydawać, to okazujemy tylko, że nie mamy ścisłego pojęcia i że nam o dokładność w wyrażaniu się nie chodzi.

Lecz po co te nazwy? Czyż nie dość powiedzieć sztuka starożytna, średniowieczna lub nowoczesna, jeżeli o epoki sztuki wogólności chodzi. Sztuka grecka, niemiecka, polska itp. obejmie cały rozwój działania artystycznego tego narodu.

Jeżeliby zaś wymyślać kategorje mające profanowi ułatwić zrozumienie oglądanych przezeń arcydzieł, to by i w tej mierze jaśniejsze i dokładniejsze wynaleźć się dały. Powiedzmy jak sobie samym w podobnym wypadku poradziliśmy.

Przedewszystkiem nasuwa się profanowi pytanie, jak to może być, i zkąd to pochodzi, że dzieła tak różne od siebie i tak rozmaite jak egipskie piramidy, greckie świątynie, Collosseum w Rzymie, kościół w Bambergu, św. Marek w Wenecji. Alhambra, Strasburska katedra, ratusz paryski, pałac Pitti we Florencji, Zwinger w Dreźnie, zarazem podobać nam się mogą i że je podziwiamy.

By na to pytanie odpowiedzieć, trzeba by dać definicją piękna, ażeby zaś ją znaleźć potrzebaby mieć pierwej ową ogólną zasadę, z której się reszta wysnuwa. Każdy system filozoficzny podobny jest bowiem do łańcucha, którego ogniwa doskonale ze sobą połączone, a które u owej głównej zasady, jakby u haka zawisły. Szkoda tylko, że hak ów wszystko dźwigający, zwykle jest we mgłę, lub w powietrze wbity! Błąd taki zwali dawni scholastycy petitio principii. Dlatego niema dla mnie filozofji, jest tylko filozofowanie, jak dla chłopa, co prozą mówi, niepotrzebne badania co proza, a co mowa wiązana.

Z takiego poziomego wychodząc stanowiska, zdaje mi się, że wprzód już istniały rośliny, a dopiero przyszedł botanik i spisał je w klasy. Pierwej oko uczuwało efekta światła, a ucho przyjmowało wrażenia wibracji powietrza, później zaś zestawiono prawidła optyki i akustyki i tak ze wszystkiemi przyrodzonemi naukami; podobnież naprzód były gesta i facta, dopiero je spisywano, tłómaczono, komentowano, okresy generalizowano, z innymi porównywano i ich piętna oznaczano Z początku był zwyczaj i obyczaj, usus, la coutume, stare dobre prawo, później je spisano, a przy spisywaniu nieraz fałszowano. Tak spisane studjowano, komentowano, z innymi porównywano, poprawiano i dalej kształcono;—nawet z różnych ogólne i jednakie, wspólne zestawiano.

Długo pierwej człowiek żył, myślał i miał uczucia, zanim zaczął kreślić fizjologiczne, logiczne i psychologiczne teorje i systemata.

Tak też ludzie tańczyli, śpiewali, grali, budowali, zdobili siebie, swą odzież, sprzęty i budowle, nareszcie rzeźbili i malowali nie mając nietylko pisanej estetyki, ale nawet zdefiniowanego pojęcia *piękna*, podobnie jak mieli instytucje prawne, sądy, karali za przewinienia, a nie mieli definicji *dobra*, i jak według swych wyobrażeń, czcili wiekuistą prawdę, boć to celem każdej Kosmologji i Teozofji, słowem każdej religji, a istoty *prawdy* nie ochrzcili.

Lecz na wstyd naszej szkolniczej mądrości przyznać należy, że dopiero, gdy wielcy mistrze wymarli, a poczucie piękna stępiało, pojawiła się estetyka. Grzebanie w filozofji prawa i w ekonomji politycznej doszło na koniec aż do nihilizmu, komunizmu i nie wiem czego, a filozofja zbadawszy, wyjaśniwszy i stworzywszy wszystko, przestała być niebezpieczną, nawet śmieszną, a pozostała jedynie nudną. Świat ją pominął, śmieje się zarówno z owego, co się to tu, to ówdzie sadowiąc, wszystko ze siebie wysnuwa, a nic zrobić nie może, jak i z tego drugiego, któremu wszystko co jest, jest rozumnem, gdy właściwie dla niego nic niema, bo wszystko u niego jest tylko procesem myślenia. Przegrał on też swój proces z kretesem w ostatniej instancji, a uczniowie jego poszli jedni w materjalistów a inni w Mistyków. Po takich katastrofach już nie powiada człowiek «cogito, ergo sum,» lecz raczej «czy głupio myślę, lub nie myślę wcale, zawsze wiem, że jestem.»

Po tak smutno-barbarzyńskiem wyznaniu, pozostaje jedynie szukać praktycznego rozwiązania sprawy. Greków znaną było dewizą «*piękne* a *dobre*» [1]). Czuli oni, że jedno musi być i drugiem zarazem. Ale oba muszą być zarazem i *prawdą*, gdyż fałsz ni dobrym ni pięknym być nie może. Jeżeli się więc na to zgodziliśmy, że *prawda*, *piękność* i *dobro* są jednem i tem samem, to zrozumiemy, że toż samo okazuje nam się tem lub owem stosownie do tego, czy ono przedmiotem jest naszego badania, tworzenia lub działania.

Piękno byłoby więc prawdą i dobrem. Lecz gdy nam absolutna, bezwzględna, zupełna prawda i bezwzględne dobro, a więc i absolutne piękno nie jest dostępnem, gdy ich poznać nie możemy, cóż więc będzie dla nas *względnie*, relatywnie, stosunkowo pięknem? To niem jedynie być może, co na polu sztuki najdoskonalej przedstawia *pojęcia* o prawdzie i dobru *pewnego czasu i miejsca*.

Gdy zaś według różnego czasu i miejsca, tj. u różnych narodów i w różnych wiekach rozmaite panowały pojęcia o prawdzie i dobrem, nie dziw więc, iż i w różnych krajach i wiekach i pojęcie piękna było rozmaitem. Różne więc objawy podobać nam się mogą, jeżeli ile możności dokładnie, a w sposób technicznie jak najdoskonalszy w kształcie piękna objawiają nam ówczesne i tamtejsze pojęcia prawdy i dobra. Robią egipskie piramidy ogromne na widzu wrażenie, bo są egipskich pojęć wspaniałém wcieleniem. Niechże w Wiedniu na cześć Tegethofa także postawią piramidę, a będzie ona tylko kolosalną śmiesznością, boby w niej wewnętrznej prawdy nie było.

Jeżeli więc zgodzimy się na to, że zadaniem sztuki przedstawiać nam w kształcie doskonałym, technicznie po mistrzowsku a wiernie pojęcia pewnego miejsca i czasu o prawdzie i dobru w formie piękności, to badając dzieła sztuki przyjdziemy do przekonania, że je wszystkie razem na trzy wielkie klasy podzielić możemy. Starajmy się takowe określić.

A. *Sztuka naiwna, objektywna, przedmiotowa.*

Do niej bym wszystko zaliczył, co z wewnętrznego, niejako ze świętego pochodzi popędu, co powstaje prawie bezwiednie, samo z siebie a koniecznie. Owe wielkie, wspaniałe dzieła jenjalnego natchnienia niby proste a pokorne, podobne do owych uroczych okolic, które Bóg stworzył, a których jeszcze ludzka nie przekształciła ręka. Prawdziwa to, szlachetna, natchniona sztuka. Nazwałem ją przedmiotową, objektywną, bo w niej artysta o sobie zapomina, cały przedmiotowi oddany i przedmiot tu przeważa. Nie przeczę jednak, że inaczej nazwaćby ją można z innego wychodząc punktu widzenia. Jeżeli przedewszystkiem podnosić będziemy, że mistrz w niej niepodległym jest od panowania realnego świata, że on to przeciwnie materją zawładnął, — w takim razie i idealną sztuką ogłosićby ją można. Lecz mniejsza o nazwy. Wyjaśnijmy myśl naszą przykładami.

I. *W architekturze* należały tu wszystkie wielkie oryginalne style budownictwa. Chiński zarówno jak i egipski, grecki i rzymski, maurytański i półkolisty, bizantyński i ostrołukowy, renesans i rokoko, bo one same z siebie tak naturalnie, a tak koniecznie powstały, jak np. styl szwajcarski, który niezawodnie apriorycznemu myśleniu swego początku nie zawdzięcza. Bezwiednie wszystkie te rodzaje jedną do nas odzywają się mową. Tłómaczą one nam wyraźnie uczucia i usposobienia właściwych sobie odnośnych miejsc i czasów. Gdy nie mamy zamiaru pisać tu estetyki i rozbierać nie będziemy symboliki, która te różne style stworzyła, ograniczymy się na trywialnej uwadze, że byłoby niepodobieństwem pomyśleć sobie, żeby krzyżowcy budowali świątynię rokoko jak np. prześliczny ów kościół Jezuitów w Wenecji, lub że byłaby wewnętrzna dysharmonja, gdyby markizy w pudrowanych perukach stawiały strasburgską katedrę.

Że się w naszych zapatrywaniach nie mylimy, sądzimy także mieć dowód w powyżej już wspomnianej okoliczności, że styl półkolisty przechodził w bizantyński lub ostrołukowy tak zwolna i bezwiednie, że gotycki późniejszy tak już pomału swój charakter traci i przepowiada przyszły rokoko, że niewiadomo gdzie tym pojedyńczym gatunkom oznaczyć granice, pochodzi to zaś według naszego zdania ztąd, że i ona jest odbiciem również powolnego przekształcania się pojęć w owych czasach.

Jeżeli zaś budowle chrześcjańskie tegoż samego stylu jednocześnie w różnyeh napotykamy krajach, to fakt ów jest jedynie wypływem i objawem powyżej już wspomnianej uniwersalności chrześcjaństwa, nieulegającej owym etnograficznym i jeograficznym ograniczeniom, które dawniejsze religje znamionowały.

---

[1]) Καλὸν καὶ ἀγαθόν.

II. *W rzeźbie.* Do sztuki naiwnej zaliczyłbym nietylko największą część starożytnej skulptury, średniowieczne utwory, — a głównie snycerstwo, lecz także i renesansowe wysoko i płaskorzeźby. Niech sobie teoretyczny estetyk potępia Ghibertego i jego kolegów, że zapoznali główny charakter skulptury, że jej zadaniem ma być obchodzić się bez akcessorjów, nieledwie bez szat i draperyj, a w pojedyńczej figurze, lub w grupie, jak najszczuplejszemi środkami stworzyć całość skończoną, wyraźnie do nas przemawiającą, gdy wspomniani artyści bardziej swą sztukę po malarsku traktowali. Wprowadzili bowiem w basreliefy perspektywę, jako tło, krajobraz i architekturę, a nawet osoby przedstawiali większe lub mniejsze, stosownie do skali odpowiadającej perspektywicznie temu, czy one na pierwszym, czy też odleglejszym ukazują się planie. Choćby przeciw takiemu postępowaniu krytyka całe tomy spisała, dzieła tych mistrzów przypominające nam plastycznie, iż ich twórcy także jednocześnie byli architektami, rzeźbiarzami i malarzami, dzieła te pozostaną wspaniałemi arcydziełami, wprawiającemi widza w zachwycenie.

III. *W malarstwie* według mego przekonania należałaby tu nietylko cała starożytna sztuka, ale i całe malarstwo religijne i religijno-historyczne włoskie, hiszpańskie, niemieckie, bizantyńskie, wraz z mozaikami i gobelinami, sztycharstwo i drzeworytnictwo.

Ze sztuk plastycznych, przedstawiających nam przedmioty zmysłowe największe zadania przypadły w udziale malarstwu, przy najbardziej ograniczonych środkach. Myśl ukrytą, by architektura objawiła, wieleż ona potrzebuje miejsca, materjału i rzemieślniczej pracy i pomocy. Rzeźba zadawała się zwykle na nadaniu bryle materjału form ciała ludzkiego, a przy przenoszeniu przez mistrza stworzonego ideału (modelu) na marmur lub przy odlewaniu go z brązu posługuje się techniczną pomocą. Lecz malarz ograniczony na jedną płaszczyznę i farby, ma na niej wszystko przedstawiać. Mistrz wszystko sam robić musi. Nie mówiąc o jenjalnem uzdolnieniu i o technicznej doskonałości, bo te każdemu artyście są koniecznemi, o ileż więcej od innych malarz ma trudności do zwalczenia. I on architekturę znać musi, gdy u niego budynki do scenerji należą, anatomią i układanie draperji zarówno z rzeźbiarzem on zbadał, ale procz tego kompozycja, rysunek, koloryt, pendzel, karnacja, to wszystko zdobytem być winno. Potrzebną mu optyka i perspektywa, historja, archeologja w najszerszem znaczeniu. Nietylko ludzi, ale i zwierzęta i krajobraz ma nam w łudzący sposób przedstawiać.

(Ciąg dalszy nastąpi).

DO MEJ CHRZESTNEJ CÓRKI.

(„Couplets à mes filleule.“)

Dziecino miła! może nie życzysz
Mieć we mnie, biednym, ojca chrzestnego,
Że na mój widok tak gniewnie krzyczysz?
Wybaczam ci to z serca całego!..
Jaż ci cukierków tu nie przynoszę:
Jakże z wyboru możesz się cieszyć?...
Ale, dziecino, nie płacz już proszę,
Twój chrzestny ojciec będzie cię śmieszyć!..

Przyjaźń mi ciebie dała do ręki —
I już mą córką będziesz na świecie
Nie trwoż się... Wprawdzie jam człek maleńki,
Lecz złym człowiekiem nie jestem przecie!..
Cacek ci nie dam: za te rozkosze
Kobiety zwykły zbyt wiele grzeszyć...
Ale dziecino! Nie płacz mi, proszę:
Twój chrzestny ojciec będzie cię śmieszyć!..

Chciałbym, o moje milutkie dziecię,
Sprowadzić promyk szczęścia dla ciebie...
Aleć napróżno: niemasz go w świecie, —
Bo on jest w twojej Ojczyźnie, w Niebie!..
Lecz tu jest pokój, — cnoty rozkosze...
Jest miłość... ona zdoła pocieszyć!..
Wreszcie, dziecino, nie płacz mi, proszę,
Jest śmiech: twój ojciec będzie cię śmieszyć!..

Może cię straszy to moje czoło,
Tak często smutku bruzdą zorane?..
O dziecię! To, co widzę wokoło,
Sępi i chmurzy życie złamane!..
Lecz ja kryć umiem, co w sercu noszę,
I smutną piosnką nie często grzeszyć...
A więc, dziecino, nie płacz mi, proszę...
Moja piosenka będzie cię śmieszyć!...

Tyle jest płaczu na Bożym świecie,
Że troski trzeba śmiechem pokrywać...
Nieraz łza zbiera w oku, a przecie
Pustą piosenkę umiem zaśpiewać!..
A więc nie smutek tobie przynoszę:
Z nim do kolebki niema co spieszyć. —
Owszem, dziecino — nie płacz mi, proszę:
Pustą piosenką będę cię śmieszyć!..

Kiedyś i na twem, córko, weselu
Ochoczą piosnkę starzec zanuci...
Jeżli nie będzie wówczas u celu,
Gdzie człek ni śpiewa, ani się smuci...
Lecz pocóż taką myśl tu podnoszę,
Kiedy nadzieją chciałbym się cieszyć?..
O nie, dziecino, — nie płacz dziś, proszę:
Tak! Na twym ślubie będę cię śmieszyć!..

Z Berangera, **L. Kozłowski.**

Literacko-artystyczne mięszaniny z Czech.

IV.

Więcej niż przez lat trzydzieści przybywał co rok do Pragi złotej, francuzki uczony, geolog znakomity *Joachim Barrande*, były informator hr. Chamborda. Barrande obrał sobie za zadanie studjum silurskiego utworu naszej ojczyzny i odprawiał w tym celu wycieczki naukowe po Czechach i zakładał tak cenne i bogate zbiory mineralji i skamienielin, które znajdują się w jego mieszkaniu w Pradze na Małej Stronie wraz z bogatą jego biblioteką. Barrand kochał naród nasz i nauczył się języka czeskiego i dawał znalezionym mineraliom i zkamieniałościom czeskie nazwy. Dnia 11 października doszła z Frohsdorfu wiadomość, że Berrand znajdujący się wśród drużyny wdowy Chamborda, *umarł*. Przy otwarciu jego ostatniej woli okazało się, że Berrand swoje przebogate, niewyrównane zbiory i swą bibliotekę *w wartości blisko miljonu złotych darował muzeum królewstwa czeskiego.* Prawdziwie królewski to prezent! Barrand chciał, jak w ostatniej woli pisze, aby to co z czeskiej ziemi wyszło, w Czechach zostało. Niemiec nie umiałby być na miejscu Barranda, bo dziś zapewnie wędrowałyby też zbiory do Berlina. W tem leży różnica. Barrand nie zaparł się charakteru swojego szlachetnego narodu. Szanownych czytelników będą może zajmować statystyczne daty dzieł Barrandowych. Główne dzieło jego jest: «Systéme silurien du centre de la Bohéme» składające się z sześciu tomów, z których IV. (Gastropoda i Echinodermata) nie był dotąd wydany, ale jest zupełnie do druku przygotowany. W całem dziele bez oddziału czwartego jest opis 3560 rodzajów na 6887 stronnicach tekstu z 1078 tabelami wielkiego formatu in 4-to. Całe dzieło waży 62 klgr. Według tego wydanem zostało 9 wyciągów z głównego dzieła, 5 dzieł na obram kolonji, (6 dzieło tego rodzaju jest zupełnie przygotowane) i 25 publikacyj w rożnych naukowych pismach.

Najnowszy zeszyt Jelinki: «Slovanského sborniku» przynosi następującą bardzo zajmującą wiadomość pod tytułem: *Matejko. słanny malarz polski, z krwi czeskiej.* Matejkowa rodzina (po czesku Matejkova = Matejka) pochodzi z czeskiej szlacheckiej rodziny. W metryce metropolitnego domu św. Wita w Pradze znajduje się zapis ślubu Franciszka hrabiego z Bubna i Litic z Anną Ma-

tejkową (metriea copulat. 1773 12 Decemb.). Z tego rodu pochodzi krakowski mistrz. Prócz tego był ten sam ród spokrewniony z *rycerzami z Rittersteinu*. Jeden z przodków Matejkowych był także godnostarzem na Strahowie. Ojciec sławnego malarza wyprowadził się z Czech dopiero w roku 18c6. Wiadomość tę przysłał Slovanskému sborniku historyk czeski p. Fr. Dvorsky.—Teatr narodowy czeski nie został jeszcze otwarty, gdyż wszystkie prace nie są dotąd ukończone. Otwarcie ma się odbyć dopiero w drugiej połowie listopada b. r. Dalsze zeszyty *Kvetu z polskych luhu* zawierają następujące utwory poetyczne w wybornych tłomaczeniach Jana Necasa: *Żukaj*, ballada A. Mickiewicza i A. Edw. Odyńca; *Vybrané ballady a legendy A. Edw. Odyńce, Vybrané baśne Vladislava Bełzy, Vladymira Zagórskiego, Julia Słowackiego i Edmunda Wasilewskiego*. W ostatnim zeszycie umieszczone będą «Narodnie pisnie polskie.» Nakładem księgarzy A. Reinwarta w Pradze poczęły wychodzić pisma J. I. Kraszewskiego, staraniem *Koła Polskiego* w Pradze. Pierwszy tom przynosi rodzajowy obrazek: Z pamiętnika dziada w tłomaczeniu prof. F. V. Kvapila. Przekład dobry. W półmiesięcznych zeszytach poczęła wychodzić nakładem Jos. R. Vilimka w Pradze w przekładzie Polabskiego, wyborna powieść Teodora Tomasza Jeża: *Uskoki*.

Po . . . . ky.

SZKICE ETNOGRAFICZNE.

PRZESĄDY I ZABOBONY.

Napisał **Fr. Ksaw. Mroczko.**

Ciąg dalszy.

V.

Ziemia, woda i ogień,

Ziemia spoczywa na rybie, trzymającej ogon w zębach. Ryba to bardzo stara i mchem pokryta. Gdy się jej ogon z zębów wychwyci, natenczas się trzęsie ziemia [1]).

W niektórych miejscowościach [2]) utrzymuje lud, że ziemię trzyma woł na rogach. Kiedy go w lecie tną muchy, wtedy on się opędza ogonem, trzęsie głową i ztąd jest trzęsienie ziemi.

W samym środku ziemi jest pępek, z ktorego wypływa woda i rozlewa się po całym świecie.

Ziemia, to rodzona macierz i grzech ją bić czemkolwiek, bo taki ma człowiek grzech, jak gdyby znieważył matkę swoją. Dlatego też strasznem jest przekleństwem u ludu: «bodaj ziemia święta wyrzuciła twoje kości!»

Gdzie słońce zachodzi, tam jest koniec ziemi, tam jest wieczne lato a ludzie nie mają wielkiego kłopotu z pożywieniem. Zbierają bowiem na brzegu pieczoną już rybę.

Powstanie gór tłumaczy sobie lud nasz następująco:

Pan Bóg gotował ziemię, a potem ją nagle oziębił. Bąbelki utworzone w czasie wrzenia, oziębiły się i ztąd powstały góry.

Wewnątrz ziemi pali się wieczny ogień i siedem razy silniejszy od naszych. Tam się pieką ludzie, którzy żyli bezbożnie na tym świecie. Na koncu ziemi żyją ludzie, mający tyle złota i srebra, że pokrywają swoje mieszkanie tym cennym kruszcem.

Woda ma oznaczać powódź. O niej nie mówi lud «dobra» ale «*harna*» (piękna). «Naj bude bereham dobra» — mówi przysłowie.

W wodę nie można pluć, ani w inny sposób ją zanieczyszczać, bo to grzech.

Poświęcona woda jordańska służy jako lekarstwo, a kto jest chory na umyśle, temu święcą wodę.

Kto się umyje w wodzie na Jordan uświęconej, ten nie będzie miał skórnych wyrzutów i będzie wolny od wszelkich chorób zapalnych [3]).

Ogień wydobyto z kamienia. Z początku używali go tylko djabli w piekle, ale później przeszedł do ludzi. Kto pluje na ogień, temu pryszcze całą twarz okryją [4]), a na tamtym świecie będzie lizał rozżarzone do czerwoności żelazo.

Błędne ogniki pojawiające się na moczarzyskach wskazują mieszkanie djabła, który w noc ciemną wali ku sobie podróżnych i topi ich z końmi w błocie. Na mogiłach wisielców świecą także błędne ogniki.

Gdzie są skarby ukryte, tam się okazuje także to światełko, a lud mówi, że to djabeł liczy pieniądze.

VI.

Słońce.

Lud nazywa słoneczko «okiem bożem.» Unosi się ono w powietrzu nad obłokami, w nocy śpi jak człowiek a raniutko wstaje i budzi świat cały do pracy.

W południe nie idzie, ale spoczywa po półdziennej węorówce.

Dawno, bardzo dawno żyła na wschodzie bardzo piękna dziewica, ktora wycierała i wymywała słońce, jeżeli było zaspane. Ztąd też dawniej słońce lepiej i jaśniej świeciło niż dzisiaj. Dziewica ta nie wiedzieć gdzie się podziała.

VII.

Księżyc.

Najbliższy naszej ziemi towarzysz nie większy, wedle pojęcia ludu, jak tylne koło u wozu.

Plamy na księżycu przedstawiają Kaina i Abla. W innej miejscowości [5]) opowiadano mi następną gadkę:

Było dwu braci. Obydwa bardzo gospodarni a pracowici. Raz wyjechali na pole po jęczmień, młodszy brat wziął na widła z kopy brata swojego snop jęczmienia i dał koniom do jedzenia. Starszy brat wielki sknera, rozgniewał się tem bardzo, chwycił widła i przeszył niemi pierś swojemu bratu. Za karę zawiesił go Stwórca na księżycu i kazał trzymać na widłach trupa swojego brata aż do końca świata.

Jeżeli księżyc czerwony będzie wojna, jeżeli niebieski będzie głód i mór, jeżeli zaś jasny będzie urodzaj i ludzie chorować nie będą. Jeżeli psy wyją do księżyca, będzie głód, mór i wojna [6]).

Na zmiany księżyca wpływa św. Jerzy, znany już nam opiekun wilków. Trzyma on księżyc na zawiasach, ktore już to zniża, już to podnosi.

Pierwsza kwadra wiedzie ze sobą różne nieszczęście, dlatego też nie można żadnych rozpoczynać prac gospodarskich; nie wolno więc ani siać, ani żąć, ani orać, ani też kwasić ogórków.

Po czterech tygodniach przeradza się księżyc, a z nim i żyd wieczny tułacz, ktory odepchnął Zbawiciela od siebie.

Było to w wielki piątek. Zbawiciel świata skrwawiony, niósł brzemię krzyża na swoich barkach na Golgotę. Idąc ulicą przechodził mimo domu żyda i chciał spocząć pod drzwiami, bo mu już sił zabrakło.

Ale nielitościwy właściciel nie dał wypocząć Zbawicielowi, kopnął Go nogą i rzekł:

«Idź precz, tu nie dla Ciebie miejsce na spoczynek.»

Zbawca spojrzał litościwie na swojego nieprzyjaciela i powiedział: «ja pojdę ale i ty będziesz chodził wiecznie po całym świecie i nigdzie nie spoczniesz, abyś dał świadectwo prawdzie.»

I w tej chwili opuścił ów żyd swoje mieszkanie i rodzinę swoją, poszedł za Chrystusem na Golgotę, a gdy Zbawiciel dokonał wielkiego dzieła, odkupienia rodu ludzkiego, nie wrócił już więcej do domu swego, ale od tego czasu błąka się po całym świecie. Gdy się księżyc odradza, odmładza się z nim ten żyd wieczny tułacz i starzeje się razem z księżycem [7]).

Księżyc rodzi się, rośnie i umiera, a po śmierci idzie do piekła, gdzie go przetapiają i oczyszczają.

W czasie zaćmienia słońca albo księżyca rzuca się na nie gad [8]) albo skrzydlaty wilkołak [9]).

---

[1]) Wiśniowczyk, Zarwanica.
[2]) Romanówka, Mogielnica, Papiernia.
[3]) Trybuchowce.

[4]) Budzanów, Stobódka, Romanówka.
[5]) Wiśniowczyk.
[6]) Budzanów, Wiśniowczyk, Romanówka i Mogielnica.
[7]) Powiastkę tę opowiadała mi w Trembowli stara kobiecina.
[8]) Podobne wyobrażenie o zaćmieniu księżyca mają Turcy i Chińczycy.
[9]) Wilkołak, zaklęty człowiek z wilczym ogonem, który się zjawia, zwłaszcza na nowiu księżyca o postaci wilka.

Wilk ma opiekuna w sobie św. Jerzego.

Raz widziała pewna kobiecina tego świętego jadącego na białym koniu, a wilki biegły za nim. Przestraszona, wbiegła do chaty i opowiedziała to swojemu mężowi. Ciekawy małżonek wybrał się następnej nocy do lasu wylazł na wierzchołek dęba i patrzy czy nie ujrzy opiekuna wilków. Jakoż po chwili, nadjechał św. Jerzy zsiadł z rumaka, a obok niego rozsiadły się wilki.

Tobie — mówi Święty — jagniątko na wieczerzę, tobie krowa. tobie to, tobie owo. I tak porozdzielał pomiędzy nich zdobycz, ale jakiemuś staremu, kulawemu wilkowi nic się nie dostało.

— A mnie, co święty opiekunie? zapytał kulawy.

— Tobie mój stary, ten człowiek co siedzi tutaj na dębie, odpowiedział św. Jerzy i odjechał.

Wilk siedział cierpliwie pod dębem aż zjadł tego człeka [1]).

Na święto Matki Boskiej Gromnicznej (2 lutego) rozchodzą się wilki po świecie i wtedy największe wyrządzają szkody.

Wilki zjadają djabłów. Gdyby ich grzmoty i pioruny nie zabijały, a wilki nie zjadały, natenczas byłaby ich tak wielka ilość, że nie byłoby widać światu bożego.

Bojaźliwy zając zwiastuje nieszczęście, jeżeli komu drogę przebiegnie. Kto go zoczy, ten powinien wyrzucić z wozu trochę siana albo słomy.

Niedźwiedź to zaklęty młynarz.

Pewien młynarz przewracał kożuch siercią na wierzch, ubierał się, właził pod most i straszył przechodzącego Zbawiciela który przemienił młynarza w niedźwiedzia [2]).

Jeżeli *mysz* zje na Wielkanoc święconego, *zamienia się w nietoperza* [3]). Schwytanego nietoperza potrzeba zabić; wyjąć zeń kosteczki kształtu widełek. Tą kosteczką można oczarować jakąkolwiek dziewczynę dotknąwszy ją widełkami.

Jeżeli nietoperz dotknie głowy natenczas człowiek wyłysieje.

Dokończenie nastąpi.

[1]) Laskowie.
[2]) Wiśniowczyk, Złotnik, Burkanów.
[3] Wiśniowczyk, Budzanów.

SNY NASZYCH DZIEWIC.

(„Rève de nos jeunes filles").

Umilkła słowika miłosna piosenka,
 Tak tkliwie przed chwilą nucona...
Ach, patrzcie w to okno: tam cudna panienka
 Usnęła, dnia skwarem znużona!..
Spoczywa na rączce twarzyczka nadobna,
 Do lilji białej podobna:
To dla niej umilkła słowika piosenka,
 Tak tkliwie przed chwilą nucona:

Jak cicho i słodko śpi Boży ten kwiatek:
 Anieli ją pewnie kołyszą!..
Z złotego warkocza spadł siwy bławatek...
 Spi cicho, że zdaje się słyszą
Twe uszy, jak serce kołata w jej łonie,
 Jak tętno porusza jej skronie!..
Tak słodko, rozkosznie śpi Boży ten kwiatek:
 Anieli ją pewno kołyszą!..

O, jakże uroczo, jak cudnie spoczywa
 Rzucona na sofę jej postać!..
Jakiegoż artysty paleta szczęśliwa
 Barw takich potrafi wydostać,
I jakiej natchnionej potrzeba tu ręki,
 By oddać jej gracyą i wdzięki!..
Tak dziwnie uroczo i pięknie spoczywa
 Rzucona na sofę jej postać!..

Uważcie: to jakiś ślad myśli przedsennych —
 Uśmieszek twarzyczkę jej krasi!..
Zazdrosne słoneczko — snop świateł promiennych
 Cofnęło z jej główki — i gasi...
Lecz uśmiech nie zważa na słońca chimery:
 Jaśnieje on cichy a szczery...
To pewno jest jakiś ślad myśli przedsennych
 Ten uśmiech, co usta jej krasi!..

Snać miłe widzenie swem skrzydłem potrąca
 Przejrzystą spoczynku jej falę:
Bo igra wyrazem twarzyczka jej śpiąca —
 Wyrazem odmiennym już wcale:
Westchnieniem zachwytu jej piersi się wznoszą,
 Usteczka jej drgają rozkoszą:
Widocznie sen miły swem skrzydłem potrąca
 Przejrzystą spoczynku jej falę...

I o czem też marzy to lube stworzenie,
 Że tak się uśmiecha czarownie?..
Zapewne tam rycerz — z romansu widzenie —
 O serce jej błaga wymownie?..
Przykląkłszy w zachwycie u stópek dziewczęcia,
 Miłosne wygłasza zaklęcia?..
Bo o czem też marzy to lube stworzenie?..
 Że tak się uśmiecha czarownie?..

Lub może o innym tryumfie śni ona,
 Owiana Morfeja czarami;
Sni może, że piosnka poety natchniona
 Brzmi dla niej miłości dźwiękami?..
Że nową jest Laurą Petrarki nowego,
 Promieniem niebieskim dla niego?..
Tak!.. może o takim tryumfie śni ona,
 Owiana Morfeja czarami...

Lub może ku niebu dziewicy duch wzlata! —
 Ojczyźnie się swojej uśmiecha;
Bo wszakże pamięta jaskółka skrzydlata,
 Gdzie była rodzima jej strzecha...
Pamięta — i do niej powraca tak chętnie
 I o niej wciąż śpiewa namiętnie!..
O, pewnie ku Niebu dziewicy duch wzlata —
 Ojczyźnie się swojej uśmiecha!..

Nareszcie dziewica już ze snu ockniona...
 Jak żywo jej bije serduszko,
Aż rączkę musiała przycisnąć do łona!..
 — O, szepnij mi, dziewczę, na uszko,
Jakiemi też snami aniołek niebieski
 Rozkoszne wycisnął ci łezki?..
O, szepnij mi, czemu, gdyś ze snu ockniona,
 Tak żywo twe bije serduszko?..

— „Ach! Sniłam rozkosznie!.. Aż okrzyk zachwytu
 „Przebudził mię z marzeń o szczęściu!..
„A szkoda!.. O! szkoda!.. bo byłam u szczytu —
 „Marzyłam o świetnem zamęźciu!..
„A mąż mój, staruszek, był bardzo bogaty;
 „Wciąż sypał dukaty... dukaty!..
„O! Sniłam rozkosznie, aż okrzyk zachwytu
 „Przebudził mię z marzeń o szczęściu!.."

— O Nieba... Ty?.. Kwiatek tak cudny i wonny,
 Zachwycasz się takiem marzeniem??..
— „Tak!.. Miałam powozy... i pałac przestronny...
 „A z jakiem też uwielbieniem
„Patrzano na moje koronki, klejnoty!..
 „Bo mąż mi wciąż dawał bauknoty!.."
. . . .
Och, smutno!.. Dziś kwiatek przecudny i wonny
 Sni takiem wyłącznie marzeniem!!...

Z Berangera, **L. Kozłowski.**

Sprawozdanie z obrad
PIERWSZEGO ZJAZDU LITERATÓW I ARTYSTÓW POLSKICH
w Krakowie w d. 14 i 15 Września.

Ciąg dalszy.

P. Słupski: W obcej zresztą dla mnie kwestji mówię nie ze stanowiska prawniczego. Wiem o tem, że wszelkie uchwały zjazdu, jako niemającego za sobą siły wykonawczej, egzekucyjnej, naturalnie muszą pozostać bez żadnego pozytywnego wpływu, i jedynie mogą mieć wpływ moralny o tyle, że zadokumentują dla naszej przyszłości, iż o ile chodziło o strzeżenie praw osobistych, społeczeństwo czuło tego potrzebę. Całej tej kwestji strony teoretycznej poruszać nie będę, stoję na gruncie praktycznym tj. w odniesieniu specjalnie do naszych warunków a mianowicie do naszego dziennikarstwa. Zdaje mi się, że nie od rzeczy byłoby, ażeby obecne zebranie dziennikarzy i literatów porozumiało się między sobą co do przedruków dziennikarskich. Czytamy wciąż w tym względzie spory, jedni narzekają na drugich: «a! przedrukowali nas bez zacytowania źródła.» Otóż mogłaby ta kwestja być tu rozstrzygniętą, jeżeli nie w formie prawa obowiązującego, to przynajmniej na podstawie wzajemnego przyrzeczenia i na udokumentowaniu kwestji możnaby poprzestać.

Dr. Jonathan Warschauer: Dziękując szanow. referentowi za tak cenne wypracowanie przedmiotu, pozwolę sobie, chociaż nie prawnik, wynurzyć swe zdanie. Jeżeli referat ten ma przynieść jakie korzyści, to pierwszym warunkiem byłoby, aby referat przyjęty, był przedłożony sejmowi krajowemu. Co później się stanie, czy sejm weźmie go pod rozwagę, czy będzie przedłożony radzie państwa, nie można przesądzać. Ale w każdym razie ustawa tylko krajowa nie wystarcza, ale musi być międzynarodową czyli internacyonalną, bo niedość, że będzie zabezpieczoną własność w kraju, a koniecznem jest, aby była zabezpieczoną we wszystkich krajach ucywilizowanych.

P. Piltz: W Rossji obecnie przygotowywaną jest reforma kodeksu cywilnego, którą się zajmuje osobna komissja, a jedną z najważniejszych prac tej komissji będzie rozpatrzenie prawa autorskiego, więc do pewnego stopnia będzie to rozstrzygnięcie. Prawdopodobnie projekt będzie komunikowany i warszawskiej adwokaturze, która będzie wtenczas miała sposobność opinją swoją w tym względzie wypowiedzieć. Co się tyczy innej strony tej kwestji, byłbym zdania, że można byłc ze względu na elastyczność każdego paragrafu uchwalić na tym zjeździe art. i liter. utworzenie miejscowych komitetów, czy sądów polubownych, któreby się zajmowały praktycznem rozstrzyganiem wszelkich wątpliwości.

Ks. kan. Ignacy Polkowski. Równie jak p. Dr. Warschauer składam podziękowanie szan. p. referentowi za tak piękny elaborat. Co do tej sprawy, jeżeliby miała podług wniosku i opinji p. Dra Warschauera pojść tak daleko tj. do Sejmu, śmiałbym prosić z mej strony szanownego p. referenta, aby ze względów historycznej prawdy, tyczącej się druków polskich z czasów dawniejszych, raczył dodać sprostowanie. Szan. referent powiedział, że pierwszy raz dopiero w Anglji w roku 1709 spotykamy się z ustawą zabezpieczającą prawo własności literackiej. Tymczasem mamy polskie książki drukowane za szczególnym przywilejem JKMci od r. 1562 i zwykle drukarze otrzymywali szczególne przywileje królewskie, mając za sobą prawo i uchwały sejmów polskich już w w. XVI., które im służyły tak dalece, że jeżeliby ktorykolwiek z księgarzów osmieliłby się książki za szczególnym przywilejem królewskim, wydanym na imię księgarza np. Łazarza lub Scharfenbergera, przedrukowywać, ulegał bardzo znacznej karze, konfiskowano mu wszystkie dzieła i zabraniano mu sprzedaży takowych. Byłby to więc tylko mniej więcej dodatek, tyczący się naszych polskich książek.

Drugą rzecz podniosł jeden z panów, co się tyczy sprawy dziennikarskiej, a mianowicie przedruków z gazet, co się dzieje tak samowolnie, a rzeczywiście ze szkodą i dla autora i dla samych dzienników, że przedrukowują się różne rzeczy za pośrednictwem nożyczek bez żadnego zacytowania zkąd artykuł wzięty i przez kogo napisany. Tu tylko sumienność panów dziennikarzy powinna nadużyciom zapobiedz i jeżeli się oni wezmą za rękę i powiedzą sobie: «to rzecz nie moja, to byłaby kradzież publiczna» i jeżeli tylko krótką uczynią wzmiankę: przedrukowane z «Czasu,» przedrukowane z «Dziennika pozn.» — najkompletniej uczynioną jest satysfakcja i autorowi i wszystkim innym względom (oklaski).

Hr. J. Tarnowski: P. Dr. Warschauer postawił wniosek, aby referat przedstawiony zjazdowi był oddany pod głosowanie. Tymczasem referat ten uważanym być powinien za rozprawę czysto akademicką. Wprawdzie pod względem praktycznym niema ona zakresu tak szerokiego, jakby miała może, gdyby przedstawioną była zjazdowi w innym kraju, ponieważ nie posiadamy swojego prawodawczego ciała, na ktoryby konkluzje zjazdu mogły mieć wpływ, nie mamy ciała, któreby mogło wydawać uchwały o sprawie własności literackiej, obowiązujące dla literatów polskich — jednakże, jakkolwiek ograniczonym byłby zakres uchwał Zjazdu, pewien wpływ mieć one mogą. Ponieważ na międzynarodowych kongresach literackich zasiadają także, choć w małej liczbie reprezentanci polskiej literatury, więc uchwała powzięta przez zjazd literatów polskich mogłaby służyć za wskazówkę do występowania na tych zjazdach międzynarodowych. Pewniejszym już byłby każdy w takim razie swego poglądu, skoro będzie miał w swym głosie poparcie w uchwale licznego zgromadzenia i śmielej też będzie przemawiał. Mówił p. referent, że istnieje w tych kwestjach szkoła francuska i niemiecka, nie zaszkodziłoby, żeby i stanowisko polskie zaznaczone było. A więc jeżeli Szan. Zgromadzenie podziela konkluzje, jakie nam referent odczytał, zdaje się, że to będzie miało pewne znaczenie i doniosłość, jeżeli uchwałą zjazdu te konkluzje zostaną potwierdzone. (Oklaski).

P. Szymanowski Wacław: Do tego co szan. mowca powiedział, uważam za stosowne z mej strony parę słów dodać. Jako uczestnik dotychczasowych zjazdów literackich międzynarodowych mogę Panów zapewnić, że wszyscy przedstawiciele literatur obcych dla polskiej literatury są niezmiernie chętni, do tego stopnia, że nawet Francuzi, którzy najbardziej bywają u nas przedrukowywani w tłomaczeniach i którzy najsilniej się upominają o to prawo własności literackiej, a może mają i do tego prawo, oznaczają ceny swych utworów niesłychanie tanio wyłącznie dla Polaków, tak, że nieraz za 2 ruble odstępuje całe wydawnictwo. Więc i to co Panowie tutaj powiedzieli, będzie zakomunikowane na kongresie międzynarodowym i będzie z tego ułożone osobne sprawozdanie (oklaski).

P. Piltz: Nie sądzę, aby to mogło być obecnie praktycznem, a to dlatego, że dziś stosunki międzynarodowe pomiędzy polską a obcą literaturą są takie, że my tłumaczymy z niemieckiej i francuskiej literatury całemi masami, a rossyjska literatura korzysta znów z naszej bez żadnego porozumienia się z naszymi autorami, tak, że gazety nawet antagonizmem polskim się kierujące przedrukowują całe powieści polskie, bez żadnego porozumienia się z autorami. Z jednej strony więc rossyjscy literaci prowadzą tę kontrabandę naszymi utworami, z drugiej strony my ją prowadzimy w stosunku do zachodu. Czy więc nie zanadto się zobowiązujemy, przyjmując przedstawioną nam tu zasadę, a to ze względu na nieuregulowane stosunki?

P. Parczewski: Pozwolę sobie myśl p. Rosenblatta popartą przez p. Piltza nieco bliżej sformułować, mianowicie myśl syndykatów, któreby mogły rozstrzygać wszystkie kwestje własności literackiej i artystycznej nie w drodze prawnej, bo do tego brakuje atrybucyj sądowych—ale któreby mogły wydawać rezolucje, mające charakter moralnej powagi. Otóż możeby dzisiejsze zgromadzenie uchwaliło w zasadzie utworzenie syndykatów, a samą kwestję organizacji powierzyło krakowskiemu i lwowskiemu Kołu, które bądź same, bądź w porozumieniu z najwyższą naszą powagą naukową, Akademją umiejętności, podobne syndykaty zorganizowało, określiło warunki działalności i zajęło się wyborem osobistości (oklaski).

Tu na wniosek ks. kan. Polkowskiego zamknięto dyskusję; na liście nikt nie był zapisany do głosu, więc p. przewodniczący ostatniego głosu udzielił

Referentowi: W uzupełnieniu mojego referatu dodam słów kilka. Naprzód na uwagę ks. kan. Polkowskiego najzupełniej się zgadzam i żałuję bardzo, że nie miałem czasu, bo tylko dwa dni mi na przygotowanie referatu wyznaczono, uczynić o tem w referacie wzmianki. Dziękuję więc za uwagę. Co się tyczy dalej moich wniosków, sądzę przedewszystkiem, że zjazd może usku-

tecznić to co w referacie podniosłem, a co pp. Piltz i Parczewski poparli, tj. uchwalić w zasadzie zorganizowanie takich syndykatów. Właśnie zaś w uzupełnieniu referatu chcę dodać, że w Niemczech nietylko się syndykaty potworzyły, ale nawet zyskały uznanie władzy, tak że wyszła ustawa, która nakazuje sądom w sprawach wątpliwych własności autorskiej zasięgać opinji tych syndykatów, których orzeczenia mają dla sądów moc obowiązującą. Nadto urzędują także te syndykaty jako polubowne sądy. Byłoby zatem stosowne, aby uchwalić w zasadzie utworzenie takich syndykatów i polecić wypracowanie dalsze Kołu krakowskiemu i lwowskiemu. Sądzę, że organizacja taka jest bardzo łatwą i że do tych komitetów w skład mogą wchodzić osobistości ze wszystkich dzielnic kraju, bo tu nie jest koniecznem zbieranie się wszystkich członków. Mogą się one porozumiewać pisemnie, tj. w razie podniesionej kwestji przesyła się każdemu z członków komitetu dokumenty, dzieła, przedruki itd., a on obowiązany jest wypracować referat; później na podstawie referatów odbywa się głosowanie. A więc zdaje mi się, że zjazd najlepiej odpowie swemu powołaniu i zadaniu jeżeli uchwali przyjęcie w zasadzie utworzenia syndykatów polskich, któreby w charakterze sądów polubownych rozstrzygały spory tyczące się własności autorskiej.

Co się tyczy dalszych kroków zgodziłbym się na i to, aby przez sejm starać się o przeprowadzenie jakich środków, o ile rozchodzi się o opiekę międzynarodową. Więc możnaby przedłożyć ten projekt. Ale tę kwestję uważam za mniej ważną, bo organizacja komitetów może będzie praktyczniejszą i skuteczniejszą.

Ponieważ w obec 2 wniosków Dra Warschauera i p. Parczewskiego, na który zgodził się referent, dotychczasowa dyskusya wydała się zgromadzeniu niedostatecznie jeszcze rzecz wyczerpującą, otwarto ją na nowo i Dr. Jonathan Warschauer zabrał głos:

Wyszedłem z tego zapatrywania, że dyskusja tu prowadzona będzie, jak już jeden z mowców się wyraził, czysto akademicka, jeżeli się będziemy tylko zastanawiać, a nie sformułujemy rzeczy i nie obejmiemy jej w pewną całość. Chcąc mieć zatem jakikolwiek skutek, chociaż nie przesądzam, że skutek nastąpi, sądzę, że my, którzy żyjemy tu w państwie konstytucyjnem i mamy swoją izbę ustawodawczą, a jest nią sejm krajowy, powinniśmy się do tego sejmu krajowego udać. Może być, że to należy tylko do Rady państwa, jako rzecz która wymaga konwencji międzynarodowej czyli internacyonalnej, ale w każdym razie droga ta, którą pozwoliłem sobie podać, sądzę, że jest korzystną, bo całemu krajowi i reprezentantom jego w Sejmie musi i powinno zależeć, aby własność autorska była szanowaną.

Ponieważ w chwili, gdy przewodniczący chciał oba wnioski: Dra Warschauera i p. Parczewskiego (w porozumieniu z referentem) poddać pod głosowanie, tak, żeby głosowano naprzód nad wniosek Dra Warschauera, powstało w zgromadzeniu zamięszanie, więc wyjaśnił naprzód prof. Kasparek, że przedewszystkiem poddać należy pod głosowanie wnioski referenta po należytem sformułowaniu, a co się z temi uchwałami stanie to już dalsza kwestja, a następnie p. referent przemówił: Mnie w referacie moim chodziło tylko o zasadnicze myśli, więc nie zgodziłbym się na ten wniosek, aby z tym referatem udawać się do sejmu. Zmieniłbym go jedynie o tyle, ażeby polecić Kołu art. liter. krakow. i lwow., aby jedno i drugie w porozumieniu z dalszemi Kołami literackiemi i artystycznemi ułożyło zasady w duchu przedstawionych myśli i dalsze kroki w tym względzie poczyniło. Na razie zaś uważałbym za praktyczniejszy drugi wniosek tyczący się syndykatów.

Pomimo tego przewodniczący chce poddać naprzód pod głosowanie wniosek Dra Warschauera, przeciw czemu podnoszą się głosy twierdzące, iż w razie uchwalenia naprzód tego wniosku nie będzie jeszcze wiadomem, z jakim materjałem i żądaniami udać się do sejmu, a

Dr. Warschauer otrzymawszy głos w sprawie formalnej mówi:

Chciałem właśnie przemówić w sprawie formalnej, ale skoro mój wniosek został zaatakowany i zanihilowany, więc muszę go poprzeć raz jeszcze. Powiedziałem wyraźnie, że chodzi mi o to, aby dyskusja tutaj nie stała się bezowocną, powiedziałem też, że dopiero po powzięciu uchwały nad referatem Dra Rosenblatta powinniśmy uchwalić udać się do naszej izby ustawodawczej, jaką jest sejm krajowy. We wniosku moim miałem to na względzie, że znajdujemy się w państwie konstytucyjnem i mamy prawo udania się do sejmu, bo prawo petycji każdemu dozwolone. Nie spodziewam się wielkiego skutku, ale w każdym razie, będzie to przypomnieniem naszym posłom, jeżeliby w radzie państwa sprawa była podniesioną, aby głos nasz był komunikowany.

P. Parczewski: P. Dr. Rosenblatt w swym referacie nie proponował nic takiego, z czem możnaby przyjść do sejmu, nie proponował żadnych zmian, któreby miały określić prawo własności literackiej. Własność sądowa jest już zapewniona, w Rossji np. z kazuistyką nadzwyczaj drobiazgową. Tu chodzi o utworzenie instytucji, któraby zabezpieczała własność literacką w drodze moralnej, w tych wypadkach, gdzie niema na to dróg prawnych. Wiadoma to rzecz, że jest różnica między kontrefakcją a plagiatem. Tu kwestja nie da się na korzyść poszkodowanego rozstrzygnąć w drodze sądowej, chociaż w drodze moralnej na podstawie czystej sprawiedliwości trzeba w danym wypadku powiedzieć, że pokrzywdzenie nastąpiło. Ażeby tego rodzaju pokrzywdzeń nie było, aby nie było tych sporów o przedruki gazeciarskie, z któremi niepodobna przychodzić do sądów i zapychać je tak drobnemi kwestjami. można utworzyć tego rodzaju syndykaty, któreby zapobiegały nadużyciom w takich wypadkach. A więc syndykaty mają zapobiedz plagiatom i w drodze moralnej osłony, moralnej powagi, usunąć braki niedokładnego i niemogącego być dokładnem prawodawstwa w sprawie, jaką jest własność literacka. Syndykaty te rozstrzygać będą wówczas, jeżeli obie strony przyjdą, albo także gdy jedna przyjdzie, orzeczenia ich mają charakter czysto moralnej powagi. Na drogę zaś prawodawczą z tem się udawać uważam za rzecz zbyteczną.

P. Smolski: Wniosek Dra Warschauera nie może mieć praktycznej doniosłości, ponieważ nawet podług prawa austrjackiego sejm galicyjski nie byłby kompetentnym, aby jakąkolwiek ustawę dla Galicji mógł w tym kierunku wydać. Pominąwszy już to, że nie chodzi o samą Galicję, ale i o inne dzielnice, których przedstawiciele siedzą w naszem gronie, sądzę, że tylko wniosek o syndykatach jest praktyczny i może stworzyć dla autorów rodzaj moralnej władzy, gdy te syndykaty funkcjonować będą w Krakowie, Lwowie, Warszawie, Poznaniu. Że zaś niema sposobności w drodze ustawodawczej sprawy tej uregulować, więc sprzeciwiam się wnioskowi p. Warszauera.

Po tem przemówieniu Dr. Warschauer cofnął swój wniosek. Pozostał zatem tylko wniosek p. Parczewskiego. Wniosek ten został jeszcze raz odczytany, a wnioskodawca ustnie czyni dodatek, aby dla zachowania uniwersalnego charakteru uchwale zjazdu, Koła liter. art. krakow. i lwowskie porozumiały się (prócz Akad. i Towarz. poznańskiego) także z Towarzystwem toruńskiem — i dalej mówi: Co do p. Piltza, sądzę, że utworzenie w Poznaniu syndykatu byłoby możliwe, ale w Warszawie jawnie powstaćby nie mógł.

P. Piltz: Dla wyjaśnienia chcę dodać, że kwestja sydykatu literackiego w Warszawie była podjętą 5 czy 6 miesięcy temu i do skutku nie przyszła, ponieważ nie było porozumienia, ale nie widzę żadnej racji, dlaczegoby syndykat, który nie potrzebuje administracji, biur i działania publicznego, lecz więcej koleżeńskiego porozumienia się, nie mógł istnieć w Warszawie. Następnie też nie rozumiem tego, w jaki sposób miałoby to być polecone Kołom art. liter. w Galicji w porozumieniu z Akademją Umiejętności i Towarzystwem Przyjaciół Nauk. Mnie się zdaje, że kwestja poprzednio podniesiona, ażeby przedstawić tę rzecz sejmowi, jest sprawą domową, galicyjską. Ale sprawa syndykatów dotyczy wszystkic dzielnic, tem bardziej, że jak każdemu wiadomo, może najważniejsze spory toczą się między prassą galicyiską i warszawską. Skutkiem zaś granic politycznych jeden centralny syndykat nie zawsze będzie mógł działać. Więc sądzę, że naprzód potrzeba syndykatów lokalnych i rozdzielenia centralnego syndykatu na miejscowe dla spraw tyczących się sporów między Warszawą a prassą galicyjską.

Ostatni głos wreszcie zabrał raz jaszcze referent.

Dr. Rosenblatt: Jedynie pozytywną kwestją i pozytywnym wnioskiem moim było utworzenie syndykatów. Sprzeciwiam się jednak temu, aby syndykaty były miejscowymi, bo sądzę, że to do celu nie doprowadzi, a doprowadzi do niego jeden syndykat na całą ziemię polską. Miejscowe syndykaty są nieodpowiednie, bo na kwestją własności literackiej zapatrywałyby się

nie bezstronnie, więc ich wyroki nie miałyby takiej powagi jak właśnie jeden syndykat dla całego kraju. Sądzę też, że jeden syndykat podołałby zadaniu, bo bardzoby smutno było, gdyby tyle kradzieży literackich się zdarzało, żeby w każdem miejscu powstawać musiały osobne komitety. Dlatego radzę nie decentralizować, tylko utworzyć jeden syndykat, a powołać do niego można mężów z wszelkich dzielnic polskich i zyskać tym sposobem gwarancję wyroku mającego wiele powagi moralnej. Proszę więc, aby przyjąć wniosek sformułowany przez p. Parczewskiego w porozumieniu ze mną.

Ponieważ w tej sprawie jeden tylko na piśmie przedłożony był wniosek p. Parczewskiego, więc przewodniczący poddał go pod głosowanie. Wniosek ten brzmi: «Zjazd uchwalić raczy: Pożądanem jest utworzenie syndykatów dla rozstrzygania wszelkich spraw i kwestji własności literackiej i artystycznej w zakresie literatury i sztuki polskiej wyniknąć mogących, bądź w drodze polubownego wyroku, bądź w charakterze rezolucji moralnej tylko powagi i powierzenie organizacji samej Kołom literackim we Lwowie i Krakowie bądź samym, bądź w porozumieniu z Akademją Umiejętności i poznańskiem Towarzystwem Przyjaciół Nauk.« Zgromadzenie stanowczą większością wniosek przyjęło.

Prezes następnie mówi:

Wręczony mi obecnie został w tej materji drugi wniosek p. Słupskiego, który jest wcieleniem tej myśli, którą słyszeliśmy wymownie przedstawioną z ust ks. kan. Polkowskiego.

Przewodniczący *odczytuje* ten wniosek następującej treści: «Zjazd uważa za rzecz uczciwości i honoru, aby wszelkie dziennikarskie przedruki pomieszczane były z zacytowaniem źródła.»

Nad wnioskiem tym wywiązała się dyskusja. Głos zabrał:

P. Smólski: Wniosek ten jest całkiem na miejscu, ale stylizowanie nieodpowiednie. W tym wniosku jest mowa o wszelkich przedrukach dziennikarskich. Tym sposobem jezeliby ten wniosek został ściśle wykonywany, to wydawanie dzienników stałoby nię niemożebne, ponieważ każda wiadomostka wycięta z innego dziennika byłaby kradzieżą literacką; więc poprawka jest niezbędną, a mianowicie w tym kierunku, że przedruki mające wartość literacką albo artystyczną powinny być wzbronione, ale nie wycinki drobne, bo uniemożnilibyśmy wydawanie dzienników.

Ks. kan. Polkowski: W chwili przemówienia p. Smólskiego zauważyłem to jedno, że kategorje i podział przedruków dozwolonych i niedozwolonych bardzo trudno oznaczyć. Bo właściwie na jedno to wychodzi, czy większy czy mniejszy ustęp przedrukowany został bez zacytowania źródła; wszystko to jedno czy grosz ukraść czy guldena (głosy: nie, nie) i chodzi o to, ażeby krotkiem słowem ale zawsze zaznaczone było zkąd wzięty jest przedruk.

P. Kamiński: Jestem przeciw poprawce wnoszonej przez przedostatniego mówcę, a to z przyczyny, że w pismach składających swe kolumny przeważnie z najświeższych wiadomości, nawet przedruk historji o złamanym mostku jest kradzieżą, jeżeli w nawiasie niema zacytowanego źródła. Bo tu chodzi o kwestję materjalną, tu dziennik dający pierwszą wiadomość a przedrukowany bez zaznaczenia źródła, jest poszkodowany.

P. Łuskina: Mnie się zdaje, że kwestja poruszona przez ks. Polkowskiego jest niczem innem jak szczegółem tej kwestji, poprzednio poruszonej o utworzeniu syndykatów. Jeżeli tylko chcemy utworzyć syndykaty do rozstrzygania praw własności literackiej, to nie bierzmy pod uwagę pojedyńczych szczegółów tesprawy. Kwestja zaś, którą postawił ksiądz Polkowski właściwie tyczy się wyłącznie gazet, kiedy tymczasem wszelkie przedruki tak z gazet jak dzieł i utworów literackich będą należały pod rozstrzygnięcie syndykatów. Dlatego jestem tego zdania, aby wniosku tego nie brać pod uwagę, lecz odesłać do tego syndykatu, którego istnienie uchwaliliśmy.

Ks. kan. Polkowski: Czy my przyjdziemy do tego rezultatu, ażeby taki syndykat utworzył się, funkcjonował i aby rzeczywiście wyroki jego miały pewną prawomocność, o tem nie wiem, ale to wiem, że w poczuciu własnem honoru i obowiązku jest w mocy naszej, w mocy dziennikarstwa, literatów i autorów zrobić wszystko, a mianowicie zastrzedz sobie i powiedzieć: ja nie pozwalam na to, aby rzecz moja była przedrukowywaną bez zacytowania, zkąd została wziętą. Jeżeli ustawa taka istnieć będzie w poczuciu honoru każdego, który się trudni dziennikarstwem i drukiem, jeżeli każdy się będzie ściśle tego trzymał i chętnie obowiązek wypełniał, tośmy wszystko spełnili, a syndykat przyjdzie w pomoc do pięknego zorganizowania, do zaokrąglenia całości w tak pięknej i ważnej sprawie. Ja sądzę, że każdy z nas dokładnie czuje i rozumie jak w tej sprawie postąpić należy. Niema tu mowy o rzeczach większych, dla których prawo rezerwowane jest sądem, gdzie można wymódz na dopuszczających się nadużycia własności literackiej, ale chodzi o rzeczy faktycznie drobniejsze, ażeby nie zdarzało się tak, że ktoś się chwali, iż pierwszy podał jakąś wiadomość, gdy tymczasem ona jest tylko powtórzoną. Są ludzie, ktorzy jeden tylko czytają dziennik i myślą, że ten lub ów dziennikarz wszystko w swym dzienniku ma od własnych kolporterów i wszystko z własnej wypisał głowy. W tych razach więc niema innego obowiązku, jak poczucie honoru, aby prawo własności literackiej było ściśle przestrzegane.

Po tem przemówieniu dyskusja została zamkniętą, a przemawiają jeszcze tylko zapisani już przedtem do głosu.

P. Librowicz: Podzielając zupełnie zdanie ks. kan. Polkowskiego pragnąłbym tylko, ażeby w sformułowaniu wniosku zaszła zmiana, mianowicie uwzględnić należy, że pisma w obrębie ziem polskich do Rossyi obecnie należących, nie zawsze są w stanie cytować źródło.

P. Grzegorzewski: Jakkolwiek może podzielałbym wniosek ks. kan. Polkowskiego, mniemam jednak, że zjazd obecny nie jest kompetentny do rozstrzygania tej kwestji. Jestto rzecz czysto dziennikarska, a to jest zjazd artystów i literatów, samych zaś dziennikarzy jest tu zaledwie kilkunastu. Ogłoście panowie zjazd dziennikarski, a będzie o tem można mówić, teraz sądzę, że tę sprawę cofnąć należy.

P. Słupski: Z drobnemi przedrukami nikt do syndykatu chodzić nie będzie, a nie ubliży to dziennikarzowi, jeżeli chce pracować uczciwie, że zacytuje źródło. Czy 3 wiersze, czy 3 arkusze to rzeczy nie zmienia dlatego, że fakt o 3 wierszach może mieć większe znaczenie niż rozprawa 3-arkuszowa.

P. Smólski: Chciałbym zwrócić uwagę na jedną okoliczność. Panowie są zdania, że najmniejsza wiadomostka powinna być w cytat zaopatrzona. Jestto niewykonalne, bo np. w mieście takiem jak Warszawa, gdzie jest 10 pism codziennych, 6 pism np. zaciąga z jednego źródła jednako brzmiące telegramy i każde z nich za to płaci, tak, że każde z tych 6 pism jest niejako właścicielem tej wiadomości. Jeżeli zatem pan redaktor pisma X zacytuje tylko np. Kuryera codziennego, toby to nie wystarczało, bo i inne pisma tę samą otrzymały wiadomość. To samo dzieje się w obec korespondencyj. Widzicie więc panowie tutaj niekonsekwencją, jeżeli do takich drobnostek zejdziemy. Dlatego obstaję przy moim wniosku, aby dodatek dotyczył tylko ważniejszych wiadomości.

Po zupełnem wyczerpaniu dyskusji powstała formalna kwestja czy poddać pod głosowanie pierwej wniosek p. Grzegorzewskiego, aby przejść do porządku dziennego nad wnioskiem p. Słupskiego, czy ten ostatni. Wreszcie przewodniczący poddaje pod głosowanie wniosek p. Słupskiego i (ks. Polkowskiego), ktory *zgromadzenie większością głosów przyjmuje.*

Z porządku dziennego następuje referat o «Naszym teatrze.» Referent niezapisany.

P. Bartoszewicz: Otrzymałem referat o naszym teatrze pod tytułem: «Kilka słów o dzisiejszym stanie teatru naszego.» Jestto referat człowieka znanego w naszej literaturze, który nie mogąc tu być obecnym, ma powody dla jakich życzy sobie, aby nie wyjawiać jego nazwiska, prosząc o odczytanie swych uwag. Ponieważ zaś obdarzony jestem od natury pewną siłą głosu, więc jeżeli panowie pozwolą referat ten przeczytam, lubo pora zdaje mi się nieco spóźnioną.

P. Szymanowski jednak stawia tymczasem wniosek, aby wskutek spóźnionej pory zamknąć posiedzenie, a w obec tego, że kilka punktów porządku dziennego IIgo posiedzenia nie zostało wyczerpanych, zgromadzić się nazajutrz o g. 9-ej rano.

Wniosek ten został przyjęty.

Przewodniczący jednak zabrał jeszcze głos: Mamy tu gościa współplemieńca, Morawianina, księdza, któryby dziś pragnął przemowić, bo mu czas nie pozwala zostać do jutra. Prosiłbym więc Panów jeszcze o zajęcie miejsc.

Poczem przemówił ks. Wikidal po morawsku, a treść jego słów była następująca:

Chociaż nie znam dokładnie języka polskiego, rozumiem go jednak. Przychodzę z Morawy, aby przynieść najuprzejmiejsze po-

zdrowienie dzielnym Polakom od Morawian. Przychodzę z Welehradu, owego sławnego miejsca, gdzie nasz Rościsław przyjął słowiańską wiarę od Cyryla i Metodego. Wiadomo wam Panowie, że wspólny nasz nieprzyjaciel zajął następnie starosławny Welehrad i tak zniszczył, że w miejscu tem nie została żadna pamiątka po słynnym grodzie. Wszechmocność boska jednak postarała się o to, aby na tem starosławnem miejscu stanęła świątynia, abyśmy mieli miejsce, gdziebyśmy się mogli pomodlić do do Boga o zmiłowanie nad narodem słowiańskim, abyśmy się modlili nad nieprzyjaciołmi naszymi, by im odpuścił ich nieprawości (brawo).

Panowie, minie za lat 2 wieków już 10, kiedy nasi apostołowie Cyryl i Metody przybyli do Welehradu i udali się także na miejsce, gdzie stoi ten sławny Kraków. Dzis panowie my na Morawach nie mamy słowiańskiego miasta i uciskani jesteśmy przez Niemców i Schulverein. Ale jednak my się nie damy, bo chcemy zostać czem jesteśmy — Słowianami. Dlatego też cieszyłem się z poznania Was Bracia Polacy, którzy okazujecie nam już od wielu lat uprzejmość i gościnność słowiańską. Mychcemy iść śladem naszych apostołów i starać się o jedność słowiańską. Nowe dla nas czasy nastały też od Piusa IX., kiedy wszyscy Słowianie jako bracia dążyli do niego szukać opieki. W imię tej łączności słowiańskiej wołam do was Polacy: «Na zdar.»

Na to przemówienie odpowiedział przewodniczący p. Danielewski: Pozwólcie mi Panowie, że pełnomocnictwo, któreście mi dali, będzie mi zarazem wystarczało do kilku słow odpowiedzi bratu Morawianinowi.

Szanowny współplemieńcze! My Polacy żywimy od dawna wszelkie sympatje dla każdej narodowości, bo na uszanowaniu narodowości i jej praw naszą przyszłość i nadzieje zasadzamy. Tem więcej bije nasze serce dla naszych współbratymców, Słowian. Jesteśmy jednakże tego przekonania, że obowiązkiem każdego plemienia słowiańskiego swoją odrębność narodową pielęgnować. Jesteśmy tego przekonania, że tem lepszymi będziemy Słowianami i tem większą będzie miłość dla słowiańskiej macierzy pomiędzy słowiańskiemi dziećmi, im więcej będzie Morawianin Morawianinem, Czech Czechem, Dalmatyniec Dalmatyńcem itd. (huczne oklaski). My zagrożeni na wszystkich punktach, my biedne dzieci słowiańskie, rozproszone po świecie, z wszystkich stron nagabywane, my, którym prawie wnętrzności wydzierają, ratujemy słowiańskość ratując polskość w nas (oklaski). Polskość nasza to fundament naszej słowiańskości, gdybyśmy się jej zbyli przestalibyśmy być waszymi braćmi. Dlatego jesteśmy przekonani, że te same uczucia was przenikają i w imię takiej słowiańskości i tego braterstwa podaję ci bracie Słowianinie rękę. (Huczne oklaski).

Panowie! jeszcze jedno słowo. Byliście łaskawi wybrać mię do współprzewodniczenia wam na drugiem posiedzaniu. To drugie posiedzenie się rozdzieliło na 2 dni; jutro będzie koniec. Niestety służyć wam nie mogę, obowiązki powołują mię do domu, dziękuję więc za zaszczyt i żegnam serdecznie.

Posiedzenie skończyło się po ½ do 7-mej wieczór.

Posiedzenie III.

Dnia 15 Września.

W skutek nieobecności prezesa III-go posiedzenia p. Maleckiego, na propozycję p. Kossaka, a z wolą zgromadzenia objął przewodnictwo p. Władysław Zawadzki, który podziękowawszy za zaszczyt i przepraszając z góry za niedostatki możebne z braku wprawy do przewodniczenia, otwiera posiedzenie o g. 10-tej i daje głos p. Bartoszewiczowi, który zakomunikował zgromadzeniu wiadomość, że przyszedł list p. Buszczyńskiego na I. zjazd artystów i literatów. Po przeczytaniu p. Bartoszewicza tego listu wraz z szeregiem ważnych wniosków i konkluzyj p. Bartoszewicz tak mówi: Pozwolą panowie, abym postawił wniosek, żeby odpowiedzieć szanownemu wnoskodawcy, iż z powodu spóźnionej pory nadesłania listu nie mogły poruszone przezeń kwestje być postawione na porządku dziennym. I tak niepodobną będzie rzeczą wszystkich referatow wysłuchać. Możemy tylko podziękować p. Buszczyńskiemu za chęć i wyrazić zal, że za pózno zgłosił się ze swojemi wnioskami.

Prof. German: Wniosek p. Bartoszewicza w ten sposób sprawę załatwiający, mianowicie, że mysl p. Buszczyńskiego zupełnie odrzucamy i do porządku dziennego nad nią przechodzimy, wymawiając się brakiem czasu — co słuszna — trudno przyjąć. Byłby inny lepszy sposób wyjścia. Spodziewam się, że ten Zjazd literatów i artystów nie będzie ostatnim. Otoż możnaby wnioski p. Buszczyńskiego przekazać Kołu literackiemu, aby w stosownym czasie, gdy się drugi Zjazd zbierze takowe komitetowi gospodarczemu odesłało (oklaski).

P. Bartoszewicz godzi się z wnioskiem Dra Germana, który też większością przyjęty został.

Następnie p. Bartoszewicz odczytał telegram od J. I. Kraszewskiego, który przyjęto długiemi oklaskami.

P. Bartoszewicz odczytuje następnie wniosek nagły p. Piltza tyczący się założenia syndykatów miejscowych, a podpisany przez 30 członkow Zjazdu. Następnie przewodniczący użycza głosu p. Piltzowi:

P. Piltz: Pozwolę sobie prosić Szan. Zgromadzenie o kilka chwil uwagi, chociażby z tego względu, że należę do członków zjazdu, którzy nie z najbliższych stron przychodzą, lecz przeszło o 1000 wiorst specjalnie dla udziału w zjeździe literatów i artystów podążyli. Chciałbym więc zapytać się: jaki cel ma zjazd? Ja sądzę, że zebraliśmy się tu nieraz z najodleglejszych stron nie dla wysłuchania samych odczytów, że przeciwnie literaci i dziennikarze zjechali się po to, aby w pewnych kwestjach powziąć uchwały, które mają znaczenie dla ogółu przedstawicieli literatów polskich. Więc sądzę, że to przedewszystkiem powinno być zadaniem tego zjazdu, bo zjazdy literatów w Krakowie już bywały, ale nie było w ten sposób z góry ułożonego i zorganizowanego jak ten I. zjazd liter. i art. polskich. Takie zaś zjazdy jak podczas jubileuszu Kraszewskiego nie mogą być brane pod uwagę. Tu może być głównie kwestja tylko co do przeprowadzenia praktycznych uchwał. Mnie się zdaje, że to kwestja bardzo ważna, bo w rzeczywistości nietylko niewszyscy przedstawiciele dziennikarstwa i artyści polscy się tu zebrali, lecz przeciwnie tylko mała część i odłam, a skutkiem rozmaitych przyczyn wyłączyły się nawet pewne grupy dziennikarskie. Więc dlatego, aby nie dawać powodu do krytyk, sądzę, że ten zjazd liter. i art. powinien mieć znaczenie praktyczne. Dotąd były podjęte dwie takie kwestje, a najprzód kwestja stowarzyszenia literatów i artystów. Ja jednak nie sądzę, aby pod tym względem zjazd wywarł praktyczny wpływ, dlatego, że kwestję te podjęło już Koło art. liter., dało nam mały zarys będący tylko częścią statutu, zastrzegło się z góry, że wdawać się w rozbiór pojedyńczych paragrafów niema czasu i że tylko w zasadzie orzec możua, czy zjazd ma co przeciw temu, aby stowarzyszenie to powstało czy nie. Zjazd postanowił odesłać statut nazad do Koła. Któż dalej będzie wybierał zarząd stowarzyszenia? Jeżeli zjazd przyjmuje udział czynny w założeniu Towarzystwa, to bezwarunkowo powinien mieć wpływ na wybór członków zarządu. Wprawdzie p. referent oświadczył, że przed zatwierdzeniem statutu nie można wybierać członkow, ale mnie się zdaje, że należy wybrać kandydatow, a nie żeby tylko Koło artyst.-liter., wszystko to załatwiało.

Tu przewodniczący sądząc, że mowca skończył, udzielił głosu p. Bartoszewiczowi, który zwraca uwagę, że p. Piltz wraca do kwestji już załatwionej i nienależącej do postawionego nagłego wniosku. Jako referent statutu «Pomocy» musiałby odpowiedzieć na zarzuty, przez co na nowo otworzyłaby się dyskusja. Sądzi przeto, że mówca powinien się ograniczyć tylko do wniosku przez siebie stawionego, a tyczącego się syndykatów.

P. Piltz mówi dalej:

Nie w celu poruszania na nowo kwestji Towarzystwa «Pomocy» art.-liter. tylko dla umotywowania wniosku w kwestji własności literackiej i syndykatów, jako środek do przekonania, że żadna kwestja dotąd nie została wyczerpana, skoro jedyna z nich praktyczna, tj. kwestja Towarzystwa dla wdów i sierot została oddana pod dyrekcję Koła artyst. liter., a zjazd w tej sprawie nie przyjął pozytywnego udziału — mówiłem o sprawie już załatwionej.

Przychodzi następnie kwestja druga, dla zjazdu literatów i dziennikarzy mająca praktyczne znaczenie. Jestto kwestja tak ważna, że pozwolicie mi panowie poświęcić jej kilka minut. To to cośmy w tej kwestji wczoraj zdecydowali, jest tak ogolnej natury, że zakrawa na platoniczne westchnienia, aby nie było wzajemnych przedruków i wszystkich tego rodzaju kwestyj. Są

to wyniki, które do niczego nie doprowadzą, mianowicie dlatego, że te pisma, które najwięcej mówią o własności literackiej najgłośniej prowadzą kontrabandę, więc to co mówię nie może obowiązywać, bo wszyscy są grzesznikami. Otóż kwestja jest taka: Powzięliśmy uchwałę, że zjazd literatów uchwala, aby został utworzony syndykat dla rozstrzygnienia sporów literackich i dziennikarskich. Ale kto w tym syndykacie ma te spory załatwiać, ta kwestja nie została rozstrzygniętą. Ja sądzę, że nie Koło artyst. liter. Jest ono tylko odłamem opinji publicznej polskiej i stoi w antagoniźmie z innemi grupami. Nie sądzę, aby członkowie tego zjazdu byli zdania, że stawiam rzecz na partykularnym gruncie. Sądzę owszem, ze tak w kwestji «Pomocy» dla wdów i sierót jak syndykatów powinny przyjąć wszystkie frakcje udział a nietylko Koło art.-liter. i że trzeba postawić wniosek, aby ten zjazd literatów wybrał syndykat z najpoważniejszych przedstawicieli literatury polskiej.

Kwestja ta została wczoraj w skutek omyłki przewodniczącego załatwioną. Postanowiony został syndykat centralny. Ktokolwiek zna technikę dziennikarską przyznać musi, że jestto rzecz, która może zostać na papierze, ale nie w wykonaniu. Jakim sposobem w Warszawie, gdzie jest kilkadziesiąt pism, spor, który jutro, pojutrze powinien być załatwiony, rozstrzygać ma centralny syndykat w Krakowie lub Lwowie, że stosunkami nieobeznany; trzebaby wprowadzać organizację, ktora jest niemożliwą do wykonania. Powiedział tutaj jeden z wnioskodawców, że syndykat będzie się składał z delegatów wszystkich dzielnic. Jak to pojmuje? Czy że przedstawiciele ci mają się zjeżdżać co tydzień? To jest niemożliwe. Więc trzeba postawić tak tę kwestję: Zjazd literacki wyraża życzenie, aby dla różnych części geograficznych utworzyć syndykaty miejscowe dla rozstrzygania sporow miejscowych i to nietylko w sprawadh autorskich ale i honorowych. Panowie wiecie z ostatniego stanu polemiki dziennikarskiej, że tego rodzaju syndykaty przyniosłyby niewątpliwą usługę literaturze polskiej i honorowi (oklaski).

Po chwilowej przerwie i paru przemówieniach w kwestjach formalnych zabrał głos

P. Parczewski: P. Piltz nie zwrócił wczoraj uwagi na cały tekst tej rezolucji, która w dalszym ciągu referatu Dra Rosenblatta, a na skutek wniosku mojego została przyjęta przez zgromadzenie. Powiada on, że przyjęto w zasadzie utworzenie syndykatu, ale kto ma syndykat wybierać, jak się ma zorganizować tego nie rozstrzygnięto; zatem byłoby pożądanem, aby ten syndykat mógł być wybrany na pełnem posiedzeniu zjazdu i być w ten sposób wyrazem opinji ogółu literatów i artystów polskich. Ale pytanie czy ci zebrani literaci reprezentują podaj $^1/_3$ lub $^1/_4$ część ogółu literatów i artystów? Jeżeli chodzi o wyrażenie opinji ogółu to zjazd kompetentnym być nie moze. Zostało zdecydowanem, że oba Koła art. i liter. w Krakowie i Lwowie w porozumieniu z najwyższą naszą instytucją naukową, Akademją umiejętności i Towarz. Przyjaciół Nauk poznań. mają się zająć zorganizowaniem syndykatu i wyborem członków komissji. Bo zanim można przystąpić do wyboru trzeba określić same zasady, trzeba zorganizować, trzeba reguły zasadnicze przepisać dla instytucji; nie można osób wybierać, dopóki się nie wie jak daleko, na jakich podstawach osoby te działać mają. Sam wybór mógłby być dokonanym, ale kwestji organizacji niepodobna tu załatwić. Byłoby pożądanem, aby przyszłe zjazdy zakreślały sobie dłuższy czas pracy, w ten sposob wyczerpująca dyskussja byłaby możliwą; dzisiaj to są rzeczy zanadto nowe, nic więc dziwnego, że i dokładnej dyskusji w kwestji tej nie można przeprowadzić i zorganizowania syndykatu dokonać i trzeba rzecz tę powierzyć gronu osób, o ktorych nie możemy wątpić, że nie poprzestaną na wyborze osób wyłącznie z Krakowa i Lwowa, ale że przybiorą literatów i artystów z innych także dzielnic Polski. Gdyby znów powiedzieć, że zjazd ma wybierać, trzebaby czekać rok, 2 i 3 lata zanim drugi zjazd się zbierze, aby wybrać komisję, która się ma zająć rozstrzyganiem kwestyj własności liter. i artyst. Teraz jeszcze jeden powód, dlaczego pożądanym jest jeden syndykat a nie kilka. Oto przedewszystkiem dlatego, aby ustalić jurysprudencją, aby na całej przestrzeni ziem polskich w całym zakresie literatury i sztuki polskiej można się było trzymać jednych i tych samych zasad; gdyby zaś były dwa, trzy, cztery syndykaty, mógłby jeden syndykat inną niż drugi wyrobić sobie jurysprudencją. Zresztą, jeżeli powstanie spór między Lwowem lub Krakowem a Warszawą, ktoryż syndykat będzie rozstrzygał, czy lwowski albo krakowski, czy też warszawski? Więc potrzeba centralizacji, więc chodzi o to, by był jeden syndykat. Poruszoną była przez p. Piltza kwestja, że jeden syndykat nie byłby w stanie przeprowadzić tego zadania, które mu poruczonem zostało, że w takim razie trzebaby jakichś delegatów posyłać, — ja sądzę, że ta rzecz nie byłaby tak trudną, bo tu badania świadków nie byłoby potrzeba, to jest kwestja formalnego zestawienia druków i tę rzecz można najdokładniej bez świadków odbyć. Z tych zasad popieram wczorajszą rezolucję.

P. Pawlikowski Miecz.: Szanowni Panowie! Liczny udział w I. zjeździe literatów i artystów świadczy o tem, iż potrzeba takich zjazdów uznaną została we wszystkich trzech dzielnicach Polski. Ale wstrzymanie się od udziału pewnej części społeczeństwa dziennikarskiego, jak zauważył p. Piltz, świadczy znowu, że są tacy, ktorzy potrzeby takich zjazdów nie uznają. Istotnie są tacy, ktorzy twierdzą, iż zjazd ten zupełnie niema żadnego celu, iż zjazdy te pożytku żadnego przynieść nie mogą i ktorzy oczekują, że zjazd ten nie zostawi po sobie dobrej pamięci. My, ktorzy uznajemy potrzebę tego zjazdu, my, ktorzy wierzymy, że zjazdy takie ludzi pióra z wszystkich dzielnic ojczyzny na przyszłość odbywać się powinny i wielkie mogą przynieść korzyści, my powinniśmy się starać przedewszystkiem o to, aby zjazd ten zostawił po sobie dobrą pamięć, a chociażby owoce tego pierwszego zjazdu były szczupłe, aby zostawił pamięć taką, któraby na przyszłość zjazdy umożliwiła. Nie mówię o tem, że ten ład wzorowy, jaki dotąd w zjeździe panował, że ta harmonia jaka dotąd panowała, że to braterstwo jakie się dało uczuć z przemówień wszystkich, któreśmy słyszeli, trwać będzie do końca, ale o tem, że jeżeli zjazd ma zachować jakąś powagę, jeżeli niema uniemożliwić dalszych zjazdów, to przedewszystkiem potrzeba, aby uchwały raz na jednem posiedzeniu zapadłe, chociażby się nie zgadzały z czyjem przekonaniem, chociażby słusznemi argumentami przekonywano nas, obowiązkiem naszym jest, aby żadne posiedzenie zjazdu nie obalało uchwał poprzedniego posiedzenia (oklaski). Dlatego Szanowni panowie, chociaż w przemowie p. Piltza widzieliśmy złote prawdy, ktoreby podzielać może należało, sądzę jednak, iż możemy do przyszłego zjazdu zostawić rozstrzygnięcie tych kwestyj, które niedostatecznie były rozwiązane, albo jeżeli uchwała zapadła wczorajszą większością nie zgadza się z większością dzisiejszą zjazdu odroczyć sprawę do zjazdu przyszłego. Cóż, Szanowni panowie, za szkoda by wyniknąć mogła, gdybyśmy przy uchwale wczorajszej zostali? Twierdzi p. Piltz, że zjazdy nie są na to, ażebyśmy wysłuchali kilku odczytów, chociażby najlepszych,—najzupełniej podzielam to zdanie. Może być, że szanowny krytyk zupełnie sprawiedliwy, jakim był w swojem przemówieniu p. Piltz, zastanowiwszy się, pojmie powody, dla ktorych na porządku dziennym zamieścił wydział gospodarczy zjazdu wykłady, prelekcje, odczyty. Przyszły zjazd niewątpliwie, jeżeli przyjdzie do skutku, nie będzie miał w programie swym odczytów, ale będzie miał dyskusje nad sprawami, które nas powszechnie zajmują.

Czy zaś te odczyty zresztą przeszkodziły uchwałom ważnym i może płodnym w następstwa? Nie sądzę. Wspomnę tylko o wystawach perjodycznych sztuki, któreśmy uchwalili, wspomnę o statucie stowarzyszenia «Pomocy» dla wdów i sierót, wspomnę wreszcie o kwestji syndykatów. Co się tyczy statutu dla «Pomocy» być może, iż przy wprowadzeniu w życie tego stowarzyszenia pokażą się potrzeby zmian, ale żeby to nie było rzeczą zjazdu uchwalać w tej mierze potrzebę stowarzyszenia, temu najmocniej muszę zaprzeczyć, bo wielokrotnie podnoszono myśl, że takie stowarzyszenie potrzebne, a zaprzeczają temu może być z tej strony, która nie bierze udziału w zjeździe. A więc potrzeba było takiej rezolucji zjazdu, ktoryby swoją powagą, bo sądzę, że zjazd ma powagę, uciszył głosy przeciwne, dozwolił stowarzyszenie takie zawiązać i rozwijać mu się (oklaski).

Co się tyczy kwestji syndykatów, sądzę także, iż uchwały wczorajszej zmieniać się nam nie godzi dla powagi samego zjazdu. Szkodliwych skutków się ztąd nie obawiam, bo wprawdzie żywo nam biją serca, bośmy się zeszli zewsząd i zdaje nam się, że to co pragniemy rychło przyniesie owoce, ale Kraków nie odrazu zbudowano, w naszej Galicji rzeczy powoli idą, nim przyjdzie do porozumienia się Koła krakowskiego i lwowskiego, nim przyjdzie do ułożenia zasad syndykatu, do porozumienia się z Akademją Umiejętności, bo i o tem jest wzmianka w uchwale,

nimby przyszło do wyboru syndykatu, sądzę, że doczekam się drugiego zjazdu, który wątpliwe kwestje rozstrzygnie. Sprawa raz postawioną została na stole, ważność i potrzeba jej uznaną, to już wiele. Nie walmy jednak tego cośmy zbudowali, bo tem moglibyśmy wstrząsnąć budową całego zjazdu, bo tem moglibyśmy zagrozić przyszłym, następnym zjazdom. Podzielając po większej części zdanie p. Piltza, pod tym względem chcę być konserwatystą w obec nas samych, pod tym względem potrzeba powagę zjazdu kłaść po nad wszelkie inne względy, jakieby mogły być przeciw wczorajszej uchwale podane (oklaski).

P. Łuskina: Po pierwszej części przemowienia p. Parczewskiego uważałem za zbyteczne głos zabierać, ale ponieważ w pierwszej części twierdził p. Parczewski, że nasze zgromadzenie nie może decydować w kwestji organizacji, w drugiej zaś części rozpatrywał tę organizację i oświadczył się za jednym syndykatem na całą Polskę, więc chcę także kilka słów od siebie dodać. Czy będzie pięć czy jeden syndykat, do nas to nie należy, bo nasze zgromadzenie nie może rozstrzygać kwestji organizacji. Myśmy się tu zebrali, aby tylko zasady zaznaczyć, ale nie możemy dla krótkości czasu pod wpływem elokwencji mowców zatwierdzać organizacji, która wymaga spokojnego obmyślenia, ale nie ubrania w piękną tylko formę. Pod piękną powłoką może się znaleźć błąd, który będzie mieścił w sobie zadatek śmierci tej całej organizacji. Dlatego powinniśmy tu postawić zasadę, ale resztę odesłać do komisji. Stawiam więc wniosek, aby nad wnioskiem p. Piltza przejść do porządku dziennego.

P. Fryling: P. Pawlikowski wspomniał o nienależeniu do zjazdu pewnego stronnictwa, wyrażając żal, że nie wzięło udziału. Miałem sposobność mowić z wybitnemi osobistościami ze stronnictwa nieobecnego, które za jedyny powód, dlaczego nie chciały wziąść udziału w obradach, podawały, że się obawiają, że cały zjazd nie będzie miał pozytywnych skutków. Jeżeli więc zależy nam na tem, aby ich przekonać, że nie mieli racji, to powinniśmy się przychylić w zupełności do wniosku p. Piltza, ponieważ to będzie głowny pozytywny rezultat z naszej dyskusji. Powiada poprzedni mówca, że to już dosyć, żeśmy rzecz w zasadzie uznali. Jestto to samo, jak gdybyśmy uznali w zasadzie potrzebę jakiegoś nowszego wynalazku, np. elektryczności. Nie byłby to żaden rezultat. Powiedział p. Parczewski, że nie możemy tu o tem bliżej mówić, bo niema tu reprezentantów wszystkich grup dziennikarstwa, literatury i sztuki. Ja sądzę, że niesłusznie. Jeżeli komitet gospodarczy ogłosił zjazd, więc ci, którzy przybyli reprezentują ogół, a uchwały te mogą i muszą mieć wartość. Dalej powiada p. Parczewski: Możemy utworzyć syndykat ale co dalej będzie, o jego organizacji nie możemy decydować itd. Mnie się zdaje, że byłoby dostateczne, gdybyśmy wybrali syndykat i powiedzieli, że będzie miał decydować co do sporow o własność literacką. Wielkiego programu przepisywać mu nie potrzebujemy, a ci którzy obdarzeni zostaną zaufaniem, mogą wykonać uchwałę według swego zapatrywania. Będzie to w każdym razie rezultat. Ale powiada p. Parczewski: jakąż będzie jurysprudencja? Przecież tu o jurysprudencji mowy być nie może. Syndykat jest instytucją, która rozstrzygać będzie jako sąd honorowy, a orzeczenie w rezultacie nikogo obowiązywać nie będzie, bo na to potrzebaby syndykatowi wykonawczej władzy, a o tem marzyć niema co. W każdym razie wracam do tego i sądzę, że to co powiedział p. Pawlikowski o tej kolosalnej powadze, którejbyśmy ubliżyli, gdybyśmy postawili jeszcze raz tę kwestję na stół, niema racji. Jeżeli panowie nie chcecie, aby to był lucus a non lucendo, więc powinniście przyjąć wniosek p. Piltza.

P. Bartoszewicz: Chciałem zwrócić uwagę, że my nie obalimy przez przyjęcie wniosku p. Piltza tego, cośmy postanowili. Wniosek uzupełniający p. Piltza nie był wczoraj poddany pod głosowanie, według więc wszelkich form parlamentarnych powinniśmy nad nim głosować.

P. Piltz: Muszę odpowiedzieć na przemówienie p. Pawlikowskiego, bo dotyka najważniejszej kwestji tj. honoru autorytetu zjazdu, Nie sądzę, aby p. Pawlikowski mógł przypuszczać, że moje przemówienie było zwrócone ku odjęciu, chociażby najdrobniejszej cząstki powagi zjazdu. Ja przyjechawszy tysiąc kilkaset wiorst zaangażowałem się dosyć w uchwałach zjazdu i zdaje mi się, że jak panu tak i mnie leży na sercu, aby ten zjazd miał nietylko wobec członków ale i opinji polskiej powagę. I sądzę, że właśnie dla utrzymania tej powagi i podtrzymania jej, zjazd powinien mieć praktyczne rezultaty. P. Pawlikowski powiada, że my działamy przeciw powadze zjazdu, jeżeli wnioski raz już uchwalone ponownie poddajemy pod rozstrzyganie i głosowanie. Ja muszę się odwołać do głosu p. Bartoszewicza, który zwrócił uwagę, że ja wcale nie stawiam nowego wniosku, tylko, że przez nieuwagę przewodniczącego, pomimo że wniosek złożyłem na piśmie, nie został tenże poddany pod głosowanie. Zjazd ubliżyłby właśnie swej powadze, jeżeliby formalnych wykroczeń się dopuszczał. Pod względem formalistyki jest więc kwestja skończona.

Co się tyczy syndykatu, to p. Parczewski zdaje mi się jest w sprzeczności ze swym wspolnikiem p. Rosenblattem, który mi powiedział, że się z moim wnioskiem zgadza. Dla uorganizowania syndykatow honorowych międzydziennikarskich nie potrzeba szczególnych regulaminów, podpadają one pod tę formę rozstrzygania sporów, co sądy polubowne, gdzie kwestja z góry nie jest rozstrzygniętą, tylko sam sąd polubowny ustanawia reguły. W sądach rossyjskich takie orzeczenia są przewidziane i w pewnych wypadkach mają moc obowiązującą. Miejscowe zatem syndykaty byłyby możliwe.

Pragnę jeszcze rzeczowe oczynić zastrzeżenie i powiedzieć, że uznaję, iż zarząd zjazdu zrobił to wszystko, czego od niego można było w tak krótkim czasie i trudnych okolicznościach wymagać (oklaski).

P. Kamiński: Podzielam zdanie tych mowców, którzy we wniosku p. Piltza nie widzą niebezpiecznego nowotorstwa, ale uzupełnienie wczoraj zapadłej decyzji, a uzupełnienie takie nie narusza powagi. Przechodzę więc wprost do kwestji pozytywnej, a mianowicie czy ma być jeden centralny ogólny syndykat czy ma być kilka, po jednym w każdej prowincji zespolonej bezpośredniemi interesami. Stanowczo jestem drugiego zdania a postaram się uzasadnić. Powiedział był szanowny kolega Parczewski, że jeden syndykat wystarcza, że w kwestyi literackiej, toć przecież badania świadków nie potrzeba, a odnośne teksty. Z tem się nie godzę, owszem nawet badanie świadków może być potrzebne. Mowiliśmy, że własność literacka zabezpieczoną być winna nietylko w poematach albo studjach np. historycznych, ale nawet co do zwykłych artykułów dziennikarskich, tem bardziej, że one są dzisiaj przedmiotem sporów i sami rzecz tę podnieśliśmy. Weźmy konkretny przykład: jedno pismo zbadało kwestją na gruncie przez kolporterow i zrobiło, że tak powiem, studjum faktu i takowy podało publiczności. Jeżeli nazajutrz drugie pismo, które kosztów nie wyłożyło, studjum tego nie robiło, fakt przedrukuje jak on był podany w pierwszem piśmie i źródła nie zacytuje, to się wyradza kwestja o własność. Przy zadecydowaniu takiej kwestji tylko chyba ludzie miejscowi głos stanowczy zabierać mogą. Dla tych względów — a przykładów cytować nie będę, boć setkami możnaby je uzupełnić, byłbym zdania, żeby syndykaty istniały w każdej prowincji. Chociażbyśmy dzisiaj nie ubierali tego w żadną formę to jako nasz postulat możemy insynuować, możemy zalecić tym ciałom, które szczegółową instrukcję będą pisały.

P. Słupski podziela zapatrywanie p. Bartoszewicza wyrażone co do kwestji formalnej.

Dr. Rosenblatt: Nie chciałem zabierać pierwej głosu, albowiem przyszedłszy podczas dyskusji zauważyłem pewne rozdrażnienie, które mię zastanowiło i bałem się, abym mu sam nie uległ i pod wpływem rozdrażnienia nie rozpatrzył sprawy jak należy. Temu więc rozdrażnieniu, które wszczęło się w skutek wzajemnego niezrozumienia, a szczęśliwie już przeszło, przypisać mogę, ze wniosek kolegi Piltza zupełnie błędnie został zrozumiany. Kończąc referat podałem jako życzenie i dezyderat, aby uchwalić potrzebę syndykatu i zarazem wyraźnie dodałem, że może I. Zjazd, jako powszechny literatów i artystów bezpośrednio przystąpić do wyboru tego syndykatu. Wczoraj właściwie uchwaliliśmy pierwszy punkt tj. utworzenie syndykatu. Dalszy punkt nie został ani tak, ani siak zdecydowany, więc wniosek p. Piltza nie jest obaleniem ani zmianą, tylko drugim punktem porządku dziennego. Przychylam się do tego wniosku, że najodpowiedniej byłoby, aby zjazd jako reprezentujący wszystkich literatów i artystów, bo nieobecnych możemy uważać za zgadzających się, przystąpił do organizacji i ażeby wybrano do syndydatu nietylko obecnych ale i nieobecnych. Słuszne są jednakże zarzuty, że wszystkich szczegołów nie można uchwalić, należałoby mieć przedłożony projekt organizacji. Przyznaję, że myślałem o tem i miałem zamiar projekt taki przedłożyć, ale mia-

łem zaledwie 2 dni czasu do przygotowania się z referatem, więc było to dla mnie fizycznie niemożebnem, dzisiaj zatem formułuję kwestją w ten sposób, ażeby I. zjazd literatów i artystów polskich wybrał dziś syndykat złożony z 24 członków w części artystów, w części literatów i ażeby temu komitetowi swojemu, czyli syndykatowi polecił uchwalić dla siebie regulamin (ponieważ najlepiej taki sydykat sam sobie uchwali regulamin, bo trudno mu go z góry narzucać i szczegóły uchwalać) i powtore temu syndykatowi centralnemu z wyboru całego zjazdu polecił powołać do życia miejscowe syndykaty dla spraw miejscowych (bo my tego uczynić nie możemy) a zastrzegł sobie rozstrzyganie sporów w ważniejszych sprawach własności literackiej.

W ten sposób, sądzę, moglibyśmy zakończyć kwestję tę, uchwalić wybor centralnego syndykatu z 24 członków, a polecić mu uchwalenie organizacji i powołanie do życia syndykatów drobniejszych (oklaski).

P. Sarnecki: Ponieważ spory dziennikarskie są częstsze niż o własność artyst. więc proponuję, aby syndykat składał się w $^2/_3$ z literatów, a $^1/_3$ z artystów.

Ponieważ dyskusja wyczerpaną została, przewodniczący chce wnioski poddać pod głosowanie. Wnioskow jest 4. Główny wniosek p. Piltza (odczytuje), II-gi Dra Rosenblatta (odczytuje), III-ci wniosek p. Pawlikowskiego odesłania sprawy dalszej do przyszłego zjazdu i IV-ty przejścia do porządku dziennego.

Tymczasem dwaj pierwsi wnioskodawcy porozumiawszy się przedstawiają wniosek skombinowany tej treści: 1. Zjazd literatów i artystów polskich w Krakowie wyraża życzenie, ażeby oprócz jednego głównego syndykatu dziennikarskiego urządzono miejscowe syndykaty w Warszawie, Poznaniu, Lwowie i Krakowie, dla rozstrzygania spraw dziennikarskich, zarówno dotyczących spraw autorskich, jak i spraw honorowych. Główny syndykat zajmie się organizacją własną i miejscowych syndykatów. — 2. Zjazd literatów i artystów wybierze na dzisiejszym posiedzeniu 16 członków głownego syndykatu, pozostawiając wybór członków syndykatow miejscowych, właściwym grupom dziennikarskim.

Po cofnięciu wniosku przez p. Pawlikowskiego przewodniczący poddaje naprzód pod głosowanie wniosek skombinowany, ktory przyjęty zostaje bardzo znaczną większością (brawa i oklaski).

Pozostawał wybór członków syndykatu. P. Fryling proponuje dla uproszczenia sprawy, aby wybrać komisję z 3 członków tj. pp. Szymanowskiego (z Warszawy) Asnyka (z Krakowa) i Sarneckiego (ze Lwowa), ktorzyby przedstawili listę 12 członków do wyboru zjazdowi. Zgromadzenie ostatecznie zgodziło się na to, a przewodniczący za zgodą zgromadzenia przerwał posiedzenie na 5 minut w celu porozumieniu się o listę kandydatów na członków syndykatu centr.

W ciągu przerwy tej p. Bartoszewicz oznajmił, że na Towarzystwo «Pomocy» wdów i sierót po artyst. i liter. otrzymał 10 rs. i zapowiedź dwóch datków w kwocie 100 i 50 zł. P. Kossak zaś zawiadomił, że jeżeliby członkowie zjazdu chcieli zwiedzić zbiory Akademji to ma upoważnienie pana prezesa Majera serdecznie zaprosić w tym celu członków zjazdu na rano dnia jutrzejszego. Oprowadzać będzie p. Gottfryd Ossowski.

Następnie przewodniczący po 10cio minutowej przerwie otwarł na nowo obrady zgromadzenia i udzielił głosu.

P. Szymanowskiemu Wacł., ktory zdał sprawę z porozumienia się komisji co do listy 16, według propozycji Dra Rosenblatta w porozumieniu z p. Piltzem zamiast pierwotnych 12 kandydatów; czwarta część z pośród nich jest artystami $^3/_4$ literatami i dziennikarzami. Nazwiska ich są: Ludwik Jenike, Piotr Chmielowski, Józef Keonig, Wojciech Gerson, Mieczysław Pawlikowski, Władysław Wisłocki, Ludomir Benedyktowicz, Marjan Sokołowski, Jan Dobrzański Władysław Zawadzki, Leon Bieliński, Franciszek Tepa, Kazimierz Jarochowski, Franciszek Dobrowolski, ks. Antoni Kantecki i Jaroszyński.

P. Fryling prononuje przyjęcie listy przez aklamacją.

P. Pawlikowski Miecz. zapytuje się na jak długo obowiązuje wybór. Po wyjaśnieniu, że do przyszłego zjazdu, zapytuje dalej co się ma stać, gdy nieobecni nie przyjmą wyboru.

P. Bartoszewicz: Poprzeć muszę to ostatnie zapytanie i oświadczyć się przeciw wyborowi nieobecnych. Za zbyt znamy nasze stosunki, abyśmy nie wiedzieli, że wybor tych osobistości z Krakowa, ktore w zjeździe nie wzięły udziału jest wyborem zupełnie zmarnowanym. Panowie z Warszawy wiedzą, że ztamtąd wybrani przyjmą wybór, tak samo ze Lwowa, ale my znów wiemy, że ci panowie, ktorzy są z Krakowa, a nie biorą udziału w zjeździe, czem zamanifestowali do niego swoją odrazę, nie przyjmą wyboru. Wszyscy wiedzą, że nie było przy urządzeniu zjazdu żadnych cech stronniczych, wszystkich zarówno proszono, nie wszyscy jednak przyszli. Ztąd cokolwiekbądźby powiedziano, z góry twierdzę i to stanowczo, że syndykat krakowski nie będzie zupełny.

P. Szymanowski: Ponieważ nieobecni tu, a postawieni na liście podzieleni zostali na 2 kategorje tj. ci ktorzy są w Warszawie, Poznaniu i Lwowie i ci, ktorzy się znajdują w Krakowie a nie przyszli na posiedzenie, więc chcę wytłomaczyć, że komisja nie uwzględniła wcale stronnictw, lecz pragnęła wybrać reprezentantów literatury i dziennikarstwa krakowskiego, a nie tego lub owego stronnictwa. Jeżeli ci panowie nie przyjmą naszego wezwania, które w każdym razie dla nich jest zaszczytne, to sami się obwinią, że od tego ruchu, który dąży do podniesienia literatury i cywilizacji polskiej stronią i nie chcą do niego należeć [1]). Naszym obowiązkiem zaznaczyć nazwiska ludzi zasłużonych, wybrać ich i podać drogę do pogodzenia się z innymi i dojscia do celu tą drogą, ktora jest jedynie dobrą, piękną i do kresu wiodącą (oklaski).

P. Smolski: Z proponowanych panów, którzy są nieobecni, nie wszyscy są nieobecni dlatego, że chcą być nieobecnymi a nie chcą popierać naszej sprawy. Może być, że niejeden mimo najlepszych chęci nie mogł przybyć, więc byłoby dobrze, abyśmy się nie ograniczali członkami niniejszego zjazdu i pozostali przy przedstawionych przez komisję. Jednakże, sądzę, że z wybranych może kilku nie przyjmie wyboru, więc stawiam wniosek, aby wybrać przynajmniej 6 lub 8 zastępców, ktorzy na miejsce ich w oznaczonym porządku weszliby do syndykatu i uzupełnili go. Co się tyczy zresztą kandydatów pozwoliłbym sobie zamiast ks. Kanteckiego proponować p. Danielewskiego.

P. Piltz: Nie wiem jak panowie wyobrażacie sobie działalność syndykatu. Sama jego organizacja wyłącza wszelką potrzebę zastępców, bo ten syndykat nie może działać inaczej jak sąd polubowny. Jest 16 członków z pośrod których strony spierające się mają wybierać po jednym syndyku, a ci 2 wybierają superarbitra, więc jeżeli nawet 2 lub 3 będzie brakowało to biedy nie będzie. A z drugiej strony stawiam wniosek, aby oddzielić syndykat artystyczny od literacko-dziennikarskiego; to będzie daleko praktyczniej.

Tu p. Bartoszewicz cofa swój wniosek ze względu na słowa p. Szymanowskiego, lubo jest przekonany, że fakta stwierdzą słuszność jego zapatrywania się.

P. Fryling radzi, aby w razie, gdyby który z proponowanych panów wyboru nie przyjął, to żeby wybrani mogli uzupełniać skład swój podług własnego uznania. Bo nic i to nie pomoże, żeby byli zastępcy, gdyż i ci mogą wyboru nie przyjąć.

P. Smólski mimo to obstaje przy wniosku swym, bo może się zdarzyć, że jednak braknie liczby potrzebnej do powzięcia uchwały.

P. Fryling znowu zwraca uwagę, że do spełnienia funkcyj potrzeba będzie bylko 3 syndyków i popiera raz jeszcze swój wniosek.

Wniosek p. Frylinga naprzód poddany pod głosowanie przyjęty został.

P. Smolski jeszcze raz poleca zamiast ks. Kanteckiego p. Danielewskiego. P. Podwyszyński natomiast popiera ks. Kanteckiego jako reprezentującego poważne stronnictwo.

Postawiono wniosek wybrania na miejsce p. Koeniga p. Szymanowskiego Wacł. P. Kamiński proponuje pojedynczo głosować.

Ten ostatni wniosek naprzód pod głosowanie poddany odrzucony został.

Wniosek, aby na miejsce ks. Kanteckiego wybrać p. Danielewskiego także nie przyjęty.

Wniosek, aby zamiast p. Koeniga wybrać p. Szymanowskiego, przyjęty.

Wreszcie *cała lista* z uchwalonemi zmianami w głosowaniu *przyjęta* została *prawie jednogłośnie*..

---

[1]) Pan Marjan Sokołowski nie przyjął wyboru do syndykatu.
Przyp. red.

Zanim przystąpiono do dalszego punktu porządku dziennego p. Bartoszewicz zwracając uwagę, że z powodu spóźnionej pory nie da się porządek dzienny w całości wyczerpać, proponuje, aby naprzód załatwić kwestje formalne a przedewszystkiem skorzystać z uprzejmego zaproszenia Koła literackiego lwowskiego i obrać Lwów na miejsce przyszłego zjazdu (oklaski).

P. Przewodniczący: Jako członek Koła literackiego we Lwowie mam zaszczyt poprzeć to zaproszenie i dodać, że uchwała taka z radością przez Koło będzie przyjętą.

P. Fryling wnosi, aby syndykat zajął się zwołaniem zjazdu i wyznaczeniem miejsca.

Dr. Warszauer: Na wszystkich zjazdach praktykuje się następujące postępowanie: Na jednem posiedzeniu przyjmuje się uchwałę, gdzie się ma odbyć przyszły zjazd i o tem telegrafuje się kołu pewnemu. Następnie wybiera się prezydjum, czyli raczej wydział, któryby się zajął przygotowaniami i urządzeniem. Ponieważ to jest uświęcone praktyką, więc i my się trzymajmy tego i wyznaczmy przewodniczącego komitetu i sekretarza.

P. Bartoszewicz: Wiem o tem zwyczaju, bo się tak zwykle robi dla tej przyczyny, aby był ktoś, coby się zajął zorganizowaniem zjazdu. Ale jeżeli mamy instytucją jak Koło literackie nie potrzebujemy tworzyć osobnego komitetu.

P. Piltz: Wiemy bardzo dobrze, że powodem usunięcia się pewnych grup dziennikarskich było to, że inicjatywa wyszła od Koła artyst. liter. w Krakowie. Że my mamy zaufanie do niego dowiedliśmy, ale czy w przyszłości nie będzie znowu kwestji z powodu, że inicjatywa wyjdzie od Koła lwowskiego. Proponuję więc, abyśmy wybrali komisją i uprosili syndykat, aby się zajął urządzeniem zjazdu.

P. Bartoszewicz: Z obowiązku muszę zwrócić uwagę członków zamiejscowych, na bezpodstawność zarzutu jakoby Koło mogło być w pewnych sferach uważane za jakieś stronnictwo, ponieważ Koło składało się i składa z ludzi wszelkich zasad i przekonań i nigdy nie występowało z żadną tendencją polityczną. Czuło ono dobrze, że zadaniem jego godzić a nie drażnić, że dla niego niema ludzi stronnictw, lecz są tylko artyści i literaci. Wszystkich zasługę zarówno i zawsze uznawało. Trzeba było widzieć, jak to samo Koło, które uczciło jubilata Jeża, niosło wieniec na grób Szujskiego (oklaski). Tu sprawa ma się inaczej. Stronnictwu, którego tu niema nie chodzi o skład Koła, ale o objawy życia i wspólnego działania. Czy ma ono słuszność czy nie, to do nas nie należy. Ja tylko chcę stwierdzić, że tak jest. Jubileuszu Kraszewskiego nie urządzało «Koło» lecz cały naród go urządzał, a członkowie tego stronnictwa dopiero trzeciego dnia ulegli wpływowi opinji i pojedyńczych osobistości i w ostatniej chwili wzięli udział częściowy (oklaski).

Przewodniczący poddał następnie pod głosowanie wniosek p. Bartoszewicza, aby urządzenie zjazdu we Lwowie w roku przyszłym polecić Kołu literackiemu lwowskiemu. Wniosek przyjęty został prawie jednogłośnie.

Ciąg dalszy nastąpi.

PRZEGLĄD ARTYSTYCZNY.

Z TEATRU.

Od czasu ostatniego naszego sprawozdania na tem miejscu, teatr nasz, jak zawsze ożywiony w tym sezonie, dał nam sporą wiązankę nowości. O każdej z nich chociażby pobieżną należy nam uczynić dziś wzmiankę.

Dnia 29 września (w sobotę) przedstawiono dramat ludowy Franciszka Niszela p. t. „Wróżka.“ Jest to sztuka pełna patetycznych deklamacyj, rozwlekłych tyrad i rozdzierających sytuacyj. A te deklamacje wypowiada, te tyrady wygłasza i w te sytuacje, dzięki głupocie i przewrotności ludzkiej wikła się i gmatwa coraz bardziej, jedyna dramatu bohaterka, która mu i nazwy udziela — „Wróżka“ Małgorzata. To wszystko zaś dzieje się w tym celu, aby dowieść, że skoro tylko ktoś przerasta głową otaczające go społeczeństwo, nietylko nie będzie uznanym, lecz często okrutnego prześladowania ofiarą niewinną stać się musi.

Myśl to nie nowa wprawdzie, ale że dość żywotna, nie moglibyśmy tedy nic mieć przeciw jej propagowaniu, gdyby ofiara propagandy: widz, nie był zmuszonym dla wydobycia tej myśli z osłon straszliwie tragicznych perypetyj, wysłuchiwać cierpliwie przez *sześć* długich aktów rzeczy bardzo niezabawnych, nikogo u nas nieobchodzących, a wszystkich w niepospolitym stopniu nużących. Głównem więc i ogólnem wrażeniem, wyniesionem przez widzów z przedstawienia *„Wróżki“* było, że każdy zadawał sobie pytanie, poco wyciągać na deski teatralne tak niepowabne i obojętne dla polskiej publiczności rzeczy, i to jeszcze dramaty, które w ogóle (z wyjątkiem chyba niewielu arcydzieł) mają u nas powodzenie tylko... w górnych sferach paradysu...

W dramacie tym rolę główną owej bohaterki Małgorzaty, wzięła na siebie panna Kałużyńska. Jak słyszeliśmy, miała ona do tej roli szczególną predylekcją, uważając ją za jedną z tych w których charakterystyczne i wybitne strony jej talentu dadzą się należycie uwydatnić. Zdaniem naszem jednak omyliła się tym razem na sobie panna Kałużyńska i żałujemy nawet znacznego niewątpliwie nakładu pracy, jaki w tę rolę gorliwa artystka włożyła. Rola bowiem Małgorzaty należy do bohaterskich, wymaga od artystki energji i siły przeważnie. Talent zaś panny K., którego obfity zasób artystka ta bezsprzecznie posiada, jest wyłącznie lirycznym, a gdzie idzie o oddanie uczuć potężnych, wychodzących po za obręb niewieściej tkliwości i słodyczy, tam naszej artystce braknie sił i środków, tam zamiast patosu wpada ona w niesmacznie i nienaturalnie manjerowaną deklamację. I w roli więc Małgorzaty, z wyjątkiem paru miejsc uczuciowych, pojętych i oddanych bardzo dobrze, panna K. powodzenia nie miała i mieć nie mogła. Dla tego też w uznaniu niewątpliwych zdolności tej artystki i chlubnego ze wszech miar zamiłowania jej w sztuce, radzimy jej, aby o ile możności starała się unikać ról t. z. „bohaterskich,“ a przyszła do świadomości, że tylko role liryczne są właściwe jej talentowi, inaczej bowiem ulegnie tej słabostce, jaką miał np. Fryderyk W., który uważał siebie za lepszego skrzypka niż statystę...

W roli Marcina, niezmiernie trudnej, wystąpił w „Wróżce“ p. Zapałowicz i odegrał ją nadspodziewanie dobrze. Winszujemy też szczerze temu artyście oklasków, które tak zasłużenie tego wieczora otrzymywał.

W następną sobotę (6 października) odegrano dwie nowe małe sztuczki: Blizińskiego *„Uczuciowych“* i *„Monte-Carlo“*, komedyjkę 1-aktową francuzką przez Cremieux i Pernaty.

Nowa komedyjka Blizińskiego nie powinna być porównywaną z tak pierwszorzędnemi tegoż autora utworami, jakiemi są *„Pan Damazy,“* lub *„Rozbitki“*, bo na tem porównaniu straciłaby dużo, gdy tymczasem, osobno wzięta, jest utworem wcale udatnym, obfitym w wiele zalet.

Jest to satyra komiczna na tych obłudników, co pod maską czułości i tkliwości serca, pod płaszczem szlachetnej ofiarności, dążą jedynie do tego, aby swemu sobkowstwu uczynić zadość. Aż dwoje reprezentantów tego rodzaju ludzi ma komedja: p. radcę Kochalskiego i panią Jenerałową. Pierwszy z nich majątkiem swej pupilli sieroty rządzi jak swoim i udaje przed światem, że owa sierota, z którą w dodatku żenić się zamyśla, jest u niego na łasce. Druga głosi, że swoje mienie zapisze „ukochanemu“ siostrzeńcowi, a tymczasem tajemnie oddaje wszystko (wraz ze swą ręką przywiędłą) exporucznikowi pruskiemu, panu Achilesowi.

Trzy te postacie są też głównemi w komedyjce (zbudowanej scenicznie bez zarzutu) i są nakreślonemi z wielkim humorem i ową trafnością obserwacji, która cechuje talent naszego komedjopisarza. Kochalskiego grał p. Podwyszyński, Jenerałową — panna Wojnowska, a grali oboje z należytem tych ról zrozumieniem, umiejąc uwydatnić wszelkie ich efektowne strony. Ale najoryginalniejszą postacią w komedyjce jest ów pan porucznik Achiles, blagier i nowy Argonauta, poszukujący złotego runa, chociażby w niepowabnych objęciach starej pani Jenerałowej. Pan Frenkel, któremu dostała się ta rola, stworzył z niej jedną z najlepszych swych kreacyj, komiczną do najwyższego stopnia, a przecież bynajmniej nie skarykaturowaną i prawdziwą jak życie.

„Monte-Carlo“, komedyjka pp. Cremieux i Pernaty ma sporo wytworności w dyalogach, zręczności w dowcipach i to dowcipach iście salonowych i biegłości w architektonice scenicznej, które to zalety każą nieco zapominać o nieprawdopodobnych cokolwiek sytuacjach i o nietrafnem, naiwnem prawie malowaniu tak modnych dziś we Francji typów rossyjskich.

Panna Kałużyńska umiała schwycić typ naiwnego aż do komiczności, aż do nieprawdopodobieństwa młodego dziewczęcia Olgi, z tak wdzięcznej strony i odtworzyć z taką naturalnością i niemal prawdą życiową, że otrzymywała mnóstwo oklasków.

Pani Hofmanowa miała dość dużą rolę hrabiny Dyany i oczywiście jako artystka wytrawna, grała ją dobrze, równie jak i panna Disterlo, która w roli rossjanki, amatorki *rouge-et-noire*, była zupełnie na swojem miejscu.

Toż samo można powiedzieć o panu Szymańskim jako hr. Baranowie, ale zato p. Arwin miał rolę kochanka, która wcale jego usposobieniu nie odpowiadała.

Aż do Szwecji sięgnęliśmy po sztukę sceniczną, aby się ubawić w naszym teatrze dnia 13 paździer. W tym dniu bowiem dano po raz pierwszy komedję *„Rodzina Furjozów“* szwedzkiego pisarza Fryd. Rusa.

Jako komedji, utworu tego traktować nie można, zamiast typów bowiem daje karykatury i tworzy tyle nieprawdopodobnych sytuacyj, tyle naciąganych *qui pro quo* i omyłek, że wynika ztąd dziwna plątanina, nowa *Comedy of errors*. Ale za to jako farsa, sztuka ta ma wiele zalet, bo jest napisaną z niepospolitym, prawdziwie oryginalnym humorem, jest dowcipną tak, że wywołuje ciągle wybuchy homerycznego śmiechu, a przytem zupełnie *przyzwoitą*, bez najmniejszej przymieszki i sytuacyi drażliwych, które zazwyczaj naszą płeć piękną o rumieńce przyprawiają.

Postać ojca rodziny, profesora chemji Furiosa, oryginała, zagrzebanego po uszy w retortach, alembikach, rtęciach itd., pasjonata i impetyka, mającego jednak słabość uważać siebie za łagodnego baranka, odegrał bardzo trafnie i komicznie p. Frenkel. Panią Furiosową, romantyczką starego kroju, zaczytaną tak dalece w idealnych powieściach, że w platoniczną miłość tylko wierzy — była panna Wojnowska i umiała z tej przesadnej roli stworzyć typ bardzo pocieszny. Syna Furiosów, młodziana, zatopionego w Platonie lecz przy pierwszej sposobności durzącego się w swej kuzynce niezupełnie idealnie odegrał nowy aktor p. Solski, a odegrał go w ten sposób, że musieliśmy odrazu w nim uczuć zdolnego i myślącego artystę. Dobrą też była jak zwykle panna Pysznik w roli Ewuni, a raczej lepszą jeszcze niż zwykle, bo w roli tej miała obszerne pole do wykazania swych zdolności w spotęgowanym stopniu.

W *„Rodzinie Furiosów“* okazała się po raz pierwszy nowa artystka, panna Koźmin, jako pokojówka Zuzia. Ukazała się — i odrazu, szturmem, zdobyła sobie sympatję publiczności nadzwyczaj powabną postacią, dziwnie miłem brzmieniem głosu i rezolutną, pełną naturalnego wdzięku grą. O ile też z pierwszego występu sądzić można, młodziutka ta artystka stanie się jedną z głównych ozdób naszej sceny.

Nareszcie w ostatnią sobotę (20 paźdz.) wznowioną została prześliczna komedja Augiera *„Bezczelni“*. Znakomity ten utwór, który przed 20 laty obiegł był z wielkiem a zasłużonem powodzeniem wszystkie sceny europejskie, ostatniemi zaś czasy przez samego autora cokolwiek zmienionym został, jest komedją więcej konwersacyjną niż sceniczną, ale za to z niezmierną potęgą słowa, z mistrzowską plastyką typów, stawia pod pręgierzem surowej satyry największe grzechy naszych czasów, hołdowanie złotu, chociażby z błota i kału wydobytemu i przedajność pracy, która służy temu kto więcej płaci, służy oszustom i rabusiom, a bryzga oszczerstwem na tych zacnych, którzy tamtym na drodze stają... To też, pomimo, że komedja ta jest bardzo poważną, pozbawioną wszelkich efektów scenicznych, publiczność nasza widocznie poznała się na jej głębokiej wartości, bo nietylko zapełniła teatr na pierwszem przedstawieniu, lecz i na dwóch następnych zgromadziła się tak tłumnie, że nie było w sali żadnego wolnego miejsca.

Przedstawienie tej pięknej sztuki było bardzo starannem. Pan Szymański (marg. d'Auberive) i pani Hofmanowa (Margrabina) grali przewybornie. Pan Podwyszyński był do szpiku kości „bezczelnym“ spekulantem. Pan Frenkel jako drugi „bezczelny“ niezupełnie był na swojem miejscu. Ale za to były *zupełnie nie na swojem miejscu* panna Guerard i panna Knapczyńska.

Bohaterem wieczoru był p. Arwin w roli Giboyera. Typową i charakterystyczną postać socjalisty i dziennikarza-kondotiera potrafił on odtworzyć z wysokim artyzmem i prawdą życiową, a bez najmniejszej przymieszki szarży.
A. Z.

DROBNE WIADOMOŚCI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE

Literackie i naukowe.

— Mający wychodzić od 1go Stycznia „Przegląd powszechny“ ma być redagowany na wzór „Civilta Catolica.“ Będzie to miesięcznik 6—8 arkuszowy. Cena roczna 10 złr. Dział krytyki literackiej ma być szczególnie uwzględniony.

— *Michał Bałucki* pisze nowellę: Ekscellencje, którą pomieścimy w naszym „Przeglądzie.“

— Wyszła świeżo z druku broszura hr. St. Mieroszewskiego: Jak zmienić ustawę gminną?

— Wyszedł drugi tom niezmiernie ciekawej „Historji powstania listopadowego“ przez St. Barzykowskiego. Cena dwóch wielkich tomów 12 złr.

— Listów *Krasińskiego Zygmunta* wyszedł tom II-gi.

— *Poezje Mieczysława Romanowskiego* zebrane i ułożone w 4 tomy przez Jana Amborskiego wyszły we Lwowie nakładem Gubrynowicza i Schmidta. Cena wszystkich 4 tomów 7 złr. 20 ct. a. w.

— *„Macierz polska“* wydała w tomiku 9. Opowiadanie ks. S. Mazurka p. t. „Jak z sobą żyją źli małżonkowie?“, w 10-tym rzecz Kazimierza Wodzickiego p. t. „Kochajcie przyrodę,“ a w 11 „Poradnik domowy lekarski“ przez Dra Jana Stellę-Sawickiego.

— *J. Bliziński* napisał jednoaktową komedję p. t. „Ciotka na wydaniu“, która wkrótce będzie przedstawioną na naszej scenie.

— *M. Bałucki* umieszcza w N. Reformie nowellę p. t. „Jubileusz.“

— Autor „Marzyciel.“ *A. I. O. Rogon* napisał nową powieść w 2 tomach p. t. „Motory życia“ którą drukuje „N.“ Reforma.

— *Kappapiro* (pseudonym) wydał broszurę p. t. „Przyczynki do sprawy pisowni polskiej,“ której ocenę na właściwem miejscu podamy.

— *„Wiener Allgemeine Zeitung“* umieszcza w fejletonie powieść *T. T. Jeża* p. t. „Uskoki“ w tłomaczeniu p. Moixnera.

— P. *Adam Bełcikowski* napisał obraz dramatyczny „Sobieski pod Wiedniem“ i komedję „Bal“. Pierwszy grany był z wielkiem powodzeniem w Przemyślu. Przyznano mu wyższość nad utworami Anczyca i Rapackiego.

— *Paweł Heyse*, znany poeta i nowellista niemiecki napisał tragedją p. t. *„Śmierć Don-Zuana“*. Ma ona być przedstawioną najpierw w wiedeńskim teatrze zamkowym.

— Pod tytułem *„Mnemosyne“* wydawać będzie księgarnia Juljusza Klinghardta w Lipsku czasopismo poświęcone wykształceniu sztuki pamięciowej.

— *Czasopismo dla napisów klinowych* powstało od 1 paźdz. w Monachium pod kierunkiem prof. Bezolda i Hommla. Bodaj to niemieccy uczeni!...

— *„La joie de vivre“* nowa powieść *E. Zoli* ukaże się wkrótce w odcinku „Gil Blasa“.

— W Lipsku wyszła broszura: Hauptziel des oesterreichisch-russischen Krieges der Zukunft, strategische Studie von J. P. i cieszy się wielkiem powodzeniem. W Krakowie posiada ją na składzie księgarnia K. Bartoszewicza. Cena 50 ct.

Z dziedziny malarstwa, muzyki, rzeźby, teatru i architektury.

— *H. Siemiradzkiego* obraz plafondowy *„Światło i ciemność“* wystawiony został we Warszawie w sali resursy obywatelskiej. Ma to być nowy świetny dowód talentu artysty.

— Wychodzący w Rzymie dykcjonarz sławnych współczesnych artystów mieszkających we Włoszech p. t. *Gli artisti viventi* pod redakcją Józefa Gozzoliego zamieścił w 6 zeszycie (wrześniowym) br. życiorysy i portrety: *Teodora Rygiera, Wiktora Brodzkiego* i *Henryka Siemiradzkiego*.

— *Strauss* pisze operę komiczną p. t. *„Młody książę“*, Rzecz odbywa się na wesołym dworze Ludwika XV.

— Kompozytor „Dzwonów kornewilskich J. Planquette napisał nową operetkę p. t. „Nell Gwynne“, którą ma wystawić w Londynie.

— *Olbrzymi relief* z epoki przedassyryjskiej, przedstawiający polowanie na lwa odkrył inżynier Hamann nad Eufratem i zajął się transportem jego do Berlina.

— Niemcy kopią na lądzie stałym a Francuzi na wyspach. *Na wyspie Delos* wykopali *teatr Apollina* i dom prywatny z bogatymi mozaikami, a jest nadzieja, że tym sposobem odgrzebią całe dawne miasto.

— W Epidaurus odkopano *dorycką świątynię*, w *Laurion*, starożytnej kopalni złota 29 waz o wysokiej wartości archeologicznej.

— Rzym grzebie również pod stopami swemi i wydobywa na jaw coraz więcej interesujące pamiątki odległej przeszłości. Odkopano całą fasadę pałacu cesarskiego i wiele napisów, a starania ministra Baccellego nie ustają i pozwalają się spodziewać niezwykłych rezultatów.

— Pomnik *Alex. Dumasa* (ojca), do którego plan podał Gustaw Doré, stanął już na placu Malesherbes w Paryżu, chociaż jeszcze nie odsłonięty. Przedstawia on sławnego romansopisarza w postawie stojącej z piórem w ręku; u dołu piedestału są reliefy.

---

† HENRYK SZMITT, znany historyk, członek rady szkolnej, zmarł we Lwowie dnia 16 Października
Cześć jego pamięci.

Z powodu słabości jednego z członków redakcji Przeglądu, oraz dłuższej nieobecności drugiego członka redakcji — spóźnione dwa Nra wydajemy razem. Nr. 22 wyjdzie dnia 25 bm. Do ostatnich 3ch Nrów r. b. dodaną będzie podwójna ilość rysunków i autografów.
